ŚWIATOWID

KU CZCI BOHATERÓW Z POD KRECHOWIEC I STANISŁAWOWA.



Dnia 24 lipca b. r. w obecności p. Prezydenta Rzplitej odbyły się w Augustowie uroczystości z okazji 15-lecia 1-go pułku Ul. Krechowieckich im. Bolesława Mościckiego. Zdjęcie nasze przedstawia Mszę polową w Augustowie. *Bliższe szczegóły na str. 6-tej i 7-ej.*

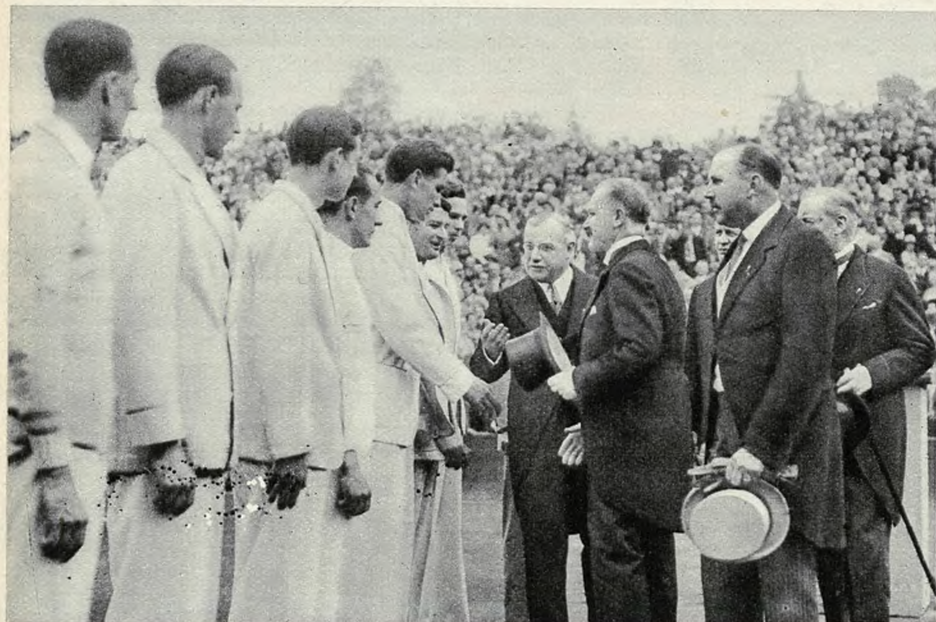
Z TYGODNIA.



NOWY PARLAMENT NIEMIECKI. Dnia 31-go lipca b. r. odbyły się w Niemczech wybory do parlamentu. Przyniosły one socjalistom 133 mandaty, hitlerowcom 229, komunistom 88, centrowcom 76, bawarskiej partji ludowej i partji gospodarczej 22, Landbundowi 2, niemieckiej partji chłopskiej 2. Nowy parlament będzie liczył 607 posłów. Jak było do przewidzenia, nacjonaliści wszelkich odcieni podwoili ilość swoich mandatów, mimo to jednak są za słabi, aby utworzyć rząd. W tej samej sytuacji znajdują się socjaliści i centrum. Zdjęcie przedstawia afisze wyborcze w Berlinie. R. Sennecke — Berlin.



CHMURY NAD ANGLJĄ. W stolicy Kanady w Ottawie odbywa się obecnie konferencja gospodarcza, w której bierze udział Anglja i wszystkie jej dominja. Rząd angielski chce bowiem skonsolidować gospodarczo całe swoje olbrzymie imperjum, spodziewając się w ten sposób znaleźć rynki zbytu dla swoich wytworów przemysłowych. Dominja jednak, które rozbudowały przemysł u siebie i są nastawione separatystycznie, odnoszą się przeważnie negatywnie do tych propozycyj. Zdjęcie przedstawia lorda Bessborougha, generalnego gubernatora Kanady, jadącego w powozie na otwarcie konferencji w Ottawie. Wide World-Photos — Paris.



FRANCJA OBRONIŁA PUHAR DAVISA. W decydujących zawodach o puhar Davisa pomiędzy Ameryką, która pobiwszy Niemcy, stanęła do rozgrywki z Francją, zwycięzczynią zeszłoroczną, wygrała ponownie Francja w stosunku 3 : 2. Po stronie Francji walczyli fenomenalny Borotra, b. mistrz świata Cochet i Brugnon, znany doublista i finalista w grze podwójnej panów o nieoficjalne mistrzostwo świata w Wimbledonie. Po stronie amerykańskiej mistrz świata Vines, Allison i Van Ryn. Zdjęcie przedstawia prez. Francji Lebruna, witającego zawodników.



ARTUR RUBINSTEIN NA ŚLUBNYM KOBIERCU. Przed kilkoma dniami odbył się w Londynie ślub słynnego pianisty Artura Rubinsteina z Anielą Münzową (na zdjęciu). Pani Rubinsteinowa jest córką Emila Młynarskiego, znakomitego dyrygenta muzycznego i byłego dyrektora opery warszawskiej.



POWRÓT P. PREMJERA Z WYWCZASÓW LETNICH. Dnia 1 sierpnia b. r. powrócił z Gdyni p. premjer Prystor (drugi od lewej) w towarzystwie ministra Hubickiego (pierwszy od prawej). Zdjęcie przedstawia powitanie obu dygnitarzy na dworcu warszawskim przez wyższych urzędników z Prezydjum Rady Ministrów. Trzeci od lewej: p. Władysław Paczowski, radca prawny z Prezydjum Rady Ministrów.
Ag. fot. „Światowida".

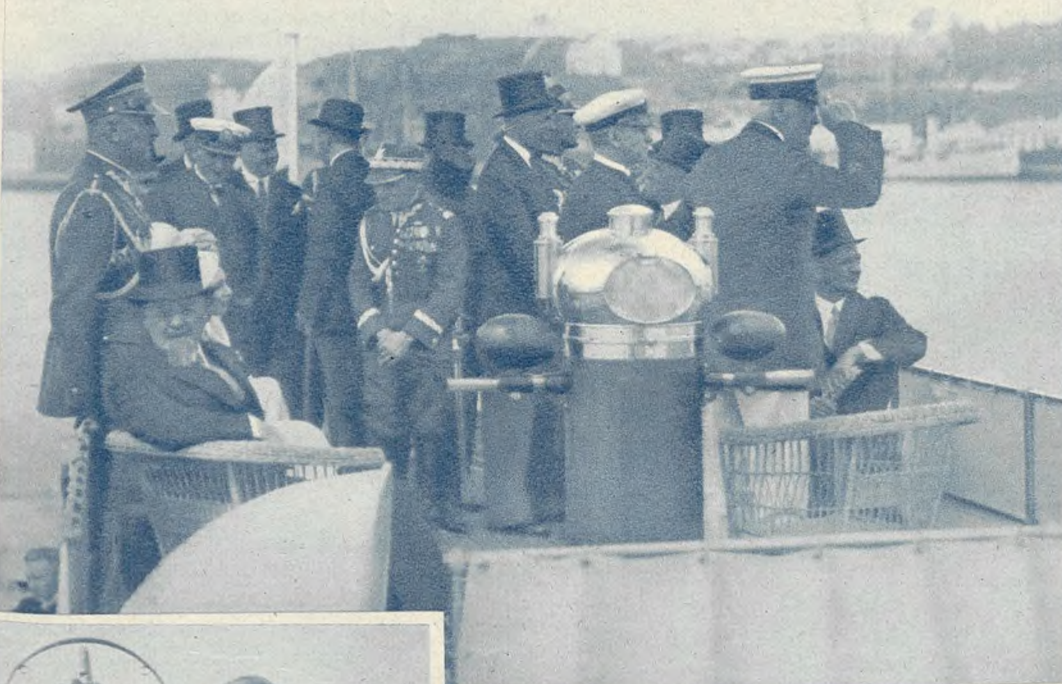


TRZECIA WĘDRÓWKA GWIAŹDZISTA POLSKIEJ YMC'A. Dorocznym zwyczajem odbyła się w dniach 26—31 lipca wędrówka gwiaździsta młodzieży szkolnej, zorganizowana przez polską YMC'a, a pozostająca pod protektoratem koncernu „I. K. C.". Wędrówka zakończona została w obozie letnim „Beskid" w Kasince, koło Mszany Dolnej (woj. krakowskie), a zwycięstwo odniosła drużyna Ogniska krakowskiego YMC'i w składzie: Gromada Stanisław, Gromada Mieczysław i Fischer Henryk. Zdjęcie przedstawia moment rozdania nagród koncernu „I. K. C." zwycięskiej drużynie, przez wysłannika redakcji „I. K. C." dra Grabowskiego.

FRONTEM KU MORZU.



Orkiestra marynarzy, grająca w czasie uroczystości Święta Morza w Gdyni.



P. Prezydent Rzpltej przyjmuje defiladę. Na pierwszym planie prezes Rady Ministrów p. Aleksander Prystor.



Wielokrotny minister Handlu i Przemysłu inż. Eug. Kwiatkowski, jeden z twórców Gdyni, wygłasza przemówienie przed mikrofonem.

Dzień 31 lipca będzie w Polsce po wieczne czasy Świętem Morza. W tym dniu każdy Polak powinien sobie uświadomić, że Polska bez morza istnieć nie może i że wszelkie godzenie w polskie morze jest godzeniem w Niepodległość naszej Ojczyzny. Na inaugurację Święta Morza przyjechał do Gdyni p. Prezydent Rzeczypospolitej w towarzystwie p. premjera Prystora i innych dygnitarzy państwowych. Biuro kwaterunkowe zarejestrowało w tym dniu 35 tysięcy wycieczkowców, którzy przybyli nad Bałtyk, aby zobaczyć polskie morze i Gdynię. Po Mszy św. na wybrzeżu przemówił inż. Eugenjusz Kwiatkowski, któremu zgotowano żywiołową owację i przyjęto długotrwałemi okrzykami: „Niech żyje!“, jako tego, który walnie przyczynił się do rozbudowy Gdyni.

W imieniu Pomorza złożył krótką deklarację starosta krajowy, p. Łacki, stwierdzając, że Pomorze stoi twardo przy Polsce.

O godz. 3 po południu p. Prezydent przyjął defiladę przy szumie 9-ciu samolotów i dźwięku kilkunastu orkiestr.

Po zapadnięciu zmroku nastąpiła iluminacja Gdyni, nad którą rozbłysły ognie sztuczne. Szczególnie pięknie wyglądała Góra Kamienna, wspaniale oświetlona.

Nie obeszło się bez prowokacji niemieckiej. Mianowicie w chwili, gdy na stadjonie odbywało się przedstawienie „Opowieści Bałtyku“, nad zatoką ukazał się „Zeppelin“, który wykonawszy kilkanaście ewolucyj, opuścił się na lotnisko we Wrzeszczu, pod Gdańskiem.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA“

O MISTRZOSTWO POLSKIEJ KAWALERJI.

Wielka szkoda, że publiczność w większej liczbie nie oglądała wszystkich prób, wchodzących w zakres konnych mistrzostw Armji, które w roku bieżącym rozgrywano w Krakowie. Organizuje się bowiem pokazy lotnicze, przeciwgazowe i wielu innych broni, a tymczasem walka wręcz, ten najwyższy sprawdzian wartości żołnierza, pozostaje dla szerszego ogółu poza sferą wiadomości. Publiczność nie wie, poza tymi oczywiście, którzy w jakiś sposób z wojskiem się stykają, jak i dlaczego, tak właśnie dzisiaj się walczy.

Zawody konne były pokazem umiejętności bojowych naszych oficerów kawalerji. Rycerska ta i starodawna broń nic nie straciła na uroku dla Polaka. Koń i szabla, oto najbliższe otoczenie Polaka przed laty. I dzisiaj niewiele się zmieniło. Entuzjazmują się ludzie aeroplanami, ale serce każdemu żywiej bije, gdy zobaczy pędzący oddział kawalerji, a w blasku letniego słońca zaiskrzą się groty lanc i ostrza szabel.

Rotmistrz Kulig z 4. pułku ułanów w skoku przez przeszkodę na „Pupilu“.



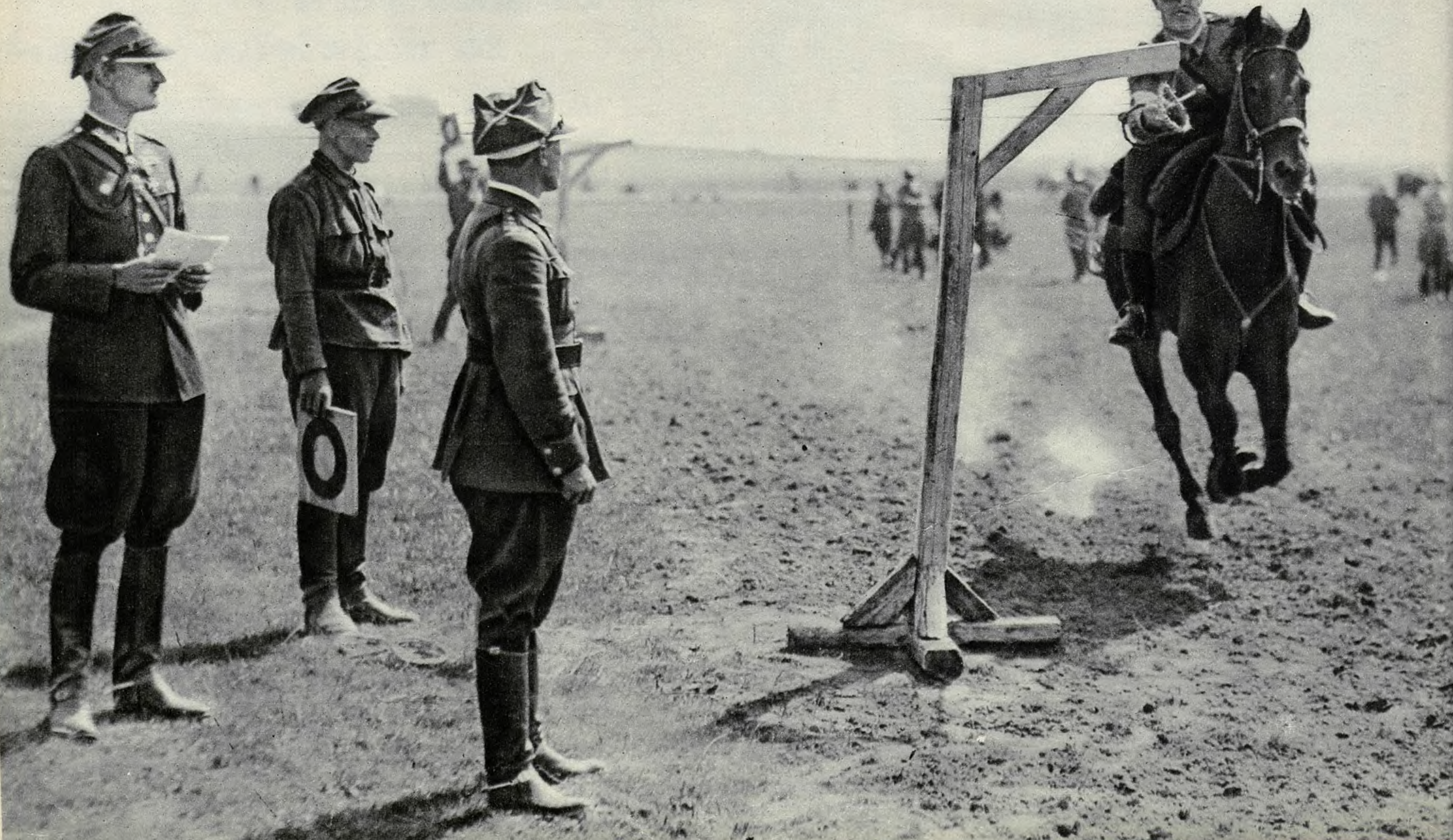
W dniach od 29—31 lipca b. r. odbyły się w Krakowie zawody o mistrzostwa konne polskiej kawalerji. Zdjęcie nasze przedstawia jury. Stoją od prawej: pp. płk. Karcz, szef departamentu artylerji, gen. Smorawiński, gen. Łuczyński, dowódca D. O. K. Kraków, płk. Belina-Prażmowski, prezydent m. Krakowa, gen. Grzmot-Skotnicki, płk. Piasecki i por. Krzyszkowski.

Z całej Polski zjechały się do Krakowa zespoły kawaleryjskie po czterech oficerów z każdego pułku, aby wziąć udział w walce bezkrwawej o tytuł najlepszego pułku kawalerji. Widziało się ułanów i wileńskich i wołyńskich, poznańskich i lwowskich, strzelców konnych z Wołkowyska i z Garwolina, szwoleżerów, ułanów i strzelców ze wszech stron Rzeczypospolitej.

Próba ciężka i dla laika stawiająca wielki problem. Widzi się tylko, że koń dźwiga stroczone siodło na grzbiecie, które musi ważyć sporo kilogramów. I z tym ciężarem jedzie się przez przeszkody, ścina się łozy i „pozorniki“ ze słomy, imitujące człowieka.

Na polach rakowickich przez trzy dni pełno było kawalerzystów. Po polach i drogach widziało się pędzące sylwetki jeźdźców, z dala dolatywał tętent końskich kopyt, od czasu do czasu ciszę letniego przedpołudnia przerywał suchy trzask strzału. Wszystko to dzieje się na oczach surowego grona sędziów, które z powagą sprawuje swoje trudne obowiązki. Wśród zawodników widzimy sylwetę płk. dypl. Andersena. Mimo, iż jest dowódcą 2 Samodzielnej Brygady Kawalerji, nie zapomina o władaniu szablą, lancą, czy pistoletem. Jest wzorem dla swej brygady. Walczy ambitnie o każdy punkt i miejsce. Obok niego „walczą“ majorowie: Bucholc (3 p. uł.), Fabrycy i dziesiątki innych.

Major Buchholc w zawodach we władaniu lancą.





Por. Pieregorodzki (10 p. uł.) podczas próby ujeżdżania.

Nie brak wśród sędziów i generalicji. Widzimy uśmiechnięte twarze generałów Grzmot-Skotnickiego i Wieniawa-Długoszowskiego. Przyjechali specjalnie z Warszawy, aby zobaczyć przebieg walki. Widzimy płk. Karcza, szefa departamentu kawalerji, jak surowo bada każdą próbę swych kawalerzystów. Niesłychanym mirem cieszy się wśród braci ułańskiej gen. Wieniawa-Długoszowski. Zawsze w doskonałym humorze, umie rozpędzić chmury nawet tam, gdzie przyczyną tego jest nieścięta łoza, czy „pudło“ przy strzelaniu z pistoletów. Wnosi ze sobą wesołość żołnierską i humor. Spotykając go — pytamy o Kraków.

— Kraków, jak Kraków. Dużo się zmienił, stał się spokojnieszy, niż dawniej, zmienił charakter, ale zawsze pozostanie dla mnie Krakowem, z którym łączą mnie serdeczne więzy. Cieszę się, że właśnie w tym Krakowie mistrzostwa armji zostały tak doskonale zorganizowane przez płk. Piaseckiego i ppłk. Masztelarza. Wszystko idzie świetnie. A najdzielniejszy, to 3 pułk strzelców konnych. Mimo trudnych warunków pracy (brak krytej ujeżdżalni) jeżdżą świetnie.

Nie pomylił się gen. Wieniawa Długoszowski. Pułk strzelców konnych z Wołkowyska jeździł tak dobrze, że zajął pierwsze miejsce w klasyfikacji zespołowej, zdobywając wspaniałą nagrodę Ministerstwa Spraw Wojskowych. Tuż za nim znalazł się 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa i 16 pułk Ułanów z Bydgoszczy. Ponowny sukces strzelców z Wołkowyska, to zdobycie przez por. Korsona mistrzostwa indywidualnego. A na drugiem miejscu znalazł się por. Totjew, również z Wołkowyska. Trzeci partner tegoż zespołu, por. Nieczaj, miał również pewne miejsce w pierwszej trójce, ale zmylenie drogi w jednej z prób zepchnęło go na dalsze miejsce.

Wspaniałem zakończeniem był konkurs skoków, rozegranych przy udziale uczestników mistrzostw. Tutaj publiczność zjawiła się w znacznej liczbie, podziwiając brawurowe skoki naszej kawaleryjskiej elity.

Na trybunach znalazła się śmietanka towarzyska miasta, a szybka i sprawna orgnizacja zawodów sprawiła, że goście wychodzili ze stadjonu zachwyceni brawurą i dzielnością polskich ułanów.

W. D.

Gen. Wieniawa-Długoszowski (pierwszy od lewej) przypatrujący się zawodom. Obok siedzą: por. Tetmajerowa i rtm. Chludzińska, stoi ppłk. Michalski, dowódca 3 p. s. k.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA“.



Defilada zwycięskiej ekipy 3-go pułku strzelców konnych.



Dnia 25-go lipca b. r. w obecności p. Prezydenta Rzeczypospolitej odbył się w Suwałkach obchód święta pułkowego 2. pułku ułanów Grochowskich im. gen. Józefa Dwernickiego. Na zdjęciu b. dowódcy tego pułku: gen. Grzmot-Skotnicki (pierwszy od lewej), gen. Suszyński (obok) i płk. Jasiewicz, jadący na czele defilady.



Ułani Grochowscy w defiladzie przed p. Prezydentem Rzeczypospolitej.

JADĄ UŁANI...



Odsłonięcie pomnika gen. Dwernickiego, obok koszar 2-go pułku ułanów Grochowskich. Na zdjęciu moment przemówienia ppor. Dwernickiego, wnuka gen. Dwernickiego.



Wnuk gen. Dwernickiego, ppor. Dwernicki ze swym synem.



Poczet sztandarowy 2-go pułku ułanów Grochowskich im. Józefa Dwernickiego w mundurach historycznych z r. 1830.

Dnia 24 lipca b. r. mały Augustów, położony na Suwalszczyźnie, ożywił się na przyjęcie Prezydenta Rzeczypospolitej, który przyjechał tutaj, aby wziąć udział w święcie pułkowem 1-go pułku Ułanów Krechowieckich. Pułk ten został utworzony po rewolucji w Rosji w 1917 roku z żołnierzy polskich i wchodził w skład t. zw. korpusu polskiego. Dnia 19 lipca 1917 r. dowództwo tego pułku objął płk. Bolesław Mościcki.

W sześć dni potem pułk ten okrył się nieśmiertelną sławą, staczając bitwę pod Stanisławowem, a następnie wykonując szarżę pod Krechowcami. Działo się to w dniach od 22—24 lipca. Po załamaniu się ofensywy Kiereńskiego, uciekające odziały rosyjskie zalały Stanisławów, grabiąc i łupiąc to miasto i występując z bronią w ręku przeciwko swoim oficerom. Armja rosyjska bowiem była już wtedy zupełnie zrewolucjonizowana i nosiła w sobie zarody rozkładu. Kiedy do pułkownika Mościckiego dotarły wieści o tem, co się dzieje w Stanisławowie, postanowił on pospieszyć z pomocą nieszczęsnej ludności tego miasta. Uzyskawszy pozwolenie od 11-tej dywizji rosyjskiej, przeniósł się on z pułkiem do Stanisławowa i stoczywszy formalną walkę z hordami maruderów, oczyścił miasto i zabezpieczył je przed dalszym rabunkiem. Dnia 24 lipca płk. Mościcki, którego pułk liczył niespełna 400 szabel, otrzymał rozkaz bronienia odwrotu armji rosyjskiej, która przeprawiała się przez most na Bystrzycy Sołotwińskiej. Widząc słabość swoich sił, decyduje się powstrzymać napierających Niemców kolejnemi szarżami w konnym szyku. W tym celu pierwszy pułk ułanów wykonał ogółem sześć szarż na piechotę niemiecką i za każdym razem zmuszał ją do odwrotu. Wypełniwszy do wieczora swoje zadanie i straciwszy 1 oficera i 31 ułanów, którzy padli, płk. Mościcki wycofał się. W 8 miesięcy później zginął on dnia 18. II. 1918 r. koło leśniczówki Dub, w głębi puszczy Białoruskiej z rąk zbuntowanego chłopstwa, przedzierając się do kraju. Zwłoki jego początkowo pochowano w Mińsku, a następnie w 1920 r. przeniesiono do Warszawy i złożono w podziemiach kościoła św. Krzyża.

Takie sławne tradycje ma pułk ułanów Krechowieckich.

Obecnie komendantem pułku jest płk. Strzelecki.

Spędziwszy cały dzień wśród ułanów Krechowieckich, dnia następnego p. Prezydent Rzplitej udał się do Suwałek na obchód święta 2-go pułku ułanów Grochowskich, z racji 15-lecia istnienia tego pułku. Patronem 2-go pułku jest gen. Dwernicki, słynny zagończyk z 1831 roku, zwycięzca z pod Stoczka, jeden z najlepszych kawalerzystów polskich.

P. Prezydent przyjąwszy raport od dow. pułku płk. Smoleńskiego, przyjął defiladę ułanów, a następnie przypatrywał się zawodom konnym.

Kulminacyjnym punktem tych uroczystości było odsłonięcie pomnika gen. Dwernickiego. Do p. prezydenta wygłosił przemówienie wnuk generała ppor. Dwernicki, ślubując wierność wielkim ideałom, przekazanym pułkowi przez swojego dziadka.



P. Prezydent Rzeczypospolitej w kasynie podoficerskim w Augustowie. Obok p. Prezydenta po prawej gen. Fabrycy, po lewej wojewoda białostocki p. Kościałkowski.

Z ZA KULIS PIATILETKI.

O trzysta kilometrów na południe od Czelabińska, tam, gdzie południowe stoki Uralu rozpływają się w bezkresnym stepie Orenburskim, tuż nad wartką i niewielką tutaj jeszcze rzeką Uralem, wznosi się góra o czterech, niby głowy cukru sterczących szczytach. Cały jej masyw ma sześć kilometrów długości a cztery szerokości. W górę zaś wszystkie cztery szczyty sięgają 555 metrów ponad poziom Morza Kaspijskiego. Cała ta góra jest od wieków znanem dziwem przyrody. Dawniej, gdy podróżni musieli się tu jeszcze posługiwać kompasami, w pobliżu tej góry kompasy traciły swoją wartość i zaczynały pokazywać północ na... południu. Zegarki bzikują w pobliżu tej góry, wskazując całkiem niemożliwe godziny. Cała bowiem góra wywiera w promieniu wielu kilometrów potężne magnetyczne działanie, które pochodzi stąd, że cały jej masyw zbudowany jest z... czystego niemal, magnetycznego żelaza. Grube, kilko, a nieraz nawet dziesięciometrowe pokłady tego czarnego kruszcu piętrzą się w tej górze jeden na drugim, poprzedzielane tylko cienkiemi warstwami ziemi, lub częściej także rudy żelaznej, ale już nieco w czysty metal uboższej. Zawartość czystego magnetycznego żelaza, użytego przez naturę na zbudowanie tej góry, obliczają na około trzysta miljonów tonn. Dziwna ta góra nazywa się oddawna „Magnitnaja Gara", czyli poprostu „góra magnetyczna".

Już dawno wydobywano tu żelazo, ale w skali najdrobniejszej. Brak węgla w pobliżu nie pozwalał na eksploatację w granicach większych. Poprostu drapano lekko powierzchnię góry, lub zgoła wyłamywano wysterczające zuchwale na wierzch pokłady czystego żelaza, aby je na węglu drzewnym przetapiać w kilku małych i staroświeckich piecach w pobliskim Bierezowsku.

Bolszewicka słynna „piatiletka" obejmowała wprawdzie także eksploatację tej góry, ale w pierwotnej swej redakcji przewidywała tylko 600.000 tonn rocznego wydobycia żelaza, znowu dla braku w pobliżu odpowiedniego paliwa dla hut. Aleści w roku 1928 wybuchł ostry zatarg między narodowymi Chinami a Rosją sowiecką. Rząd chiński bezprawnie zajął północno-mandżurską kolej, zaczął stosować najbardziej brutalne szykany wobec przedstawicieli dyplomatycznych rządu sowieckiego, np. rewizja w gmachu ambasady sowieckiej w Pekinie. W Moskwie agresję tę chińską pojęto jako wstęp do działań wojennych, zamierzonych przez jakąś wielką koalicję antysowiecką z Japonją i Anglją na czele.

Bez wahania tedy zrewidowano tę część pięcioletniego planu gospodarczego, która dotyczy Uralu i Zachodniej Syberji i postanowiono nie zwlekając, podjąć na Magnetycznej górze budowę największych na świecie hut żelaznych i stalowni i wogóle tutaj stworzyć nowe potężne centrum ciężkiego przemysłu sowieckiego, które oddalone o dwa i więcej tysięcy kilometrów w linji powietrznej od najbliższej możliwej bazy awjacyjnej jakiegokolwiek państwa obcego, byłoby całkowicie zabezpieczone przed atakiem z powietrza, podczas gdy atak lądowy wogóle w rachubę nie wchodzi.

O dwa tysiące kilometrów od Uralu i Magnetycznej góry na północno-zachodnim stoku gór Ałtajskich, znajduje się małe, ubogie do niedawna miasteczko Kuznieck, które odznacza się tylko tem jednem, że leży w samym środku najbogatszego na świecie zagłębia węglowego. Zawartość tego zagłębia szacowana jest na czterysta pięćdziesiąt miljardów tonn węgla najwyższej kalorycznej wartości. O tem bogactwie da pojęcie fakt, że wszystkie zapasy węgla w pobliskich zagłębiach szacowane są łącznie zaledwie na sto miljardów tonn. Węgiel kuzniecki znajduje się tak blisko pod powierzchnią ziemi, że baby okoliczne już od wieków znały jego wartość opałową i nosiły ko koszami do swoich ognisk domowych. Pokłady węgla kuznieckiego odznaczają się niezwykłą grubością. Dochodzą do sześciu i więcej metrów czystego węgla bez wszelkich prawie przymieszek. Właściwość ta zmusza nawet do stosowania całkiem nowych metod prowadzenia i budowania sztolni.

Rząd moskiewski postanowił połączyć Górę Magnetyczną z zagłębiem Kuznieckiem dwutorową koleją. Wprawdzie kolej ta ma dwa tysiące kilometrów długości, ale przy przestrzeniach rosyjskich, odległość ta nikogo nie przeraża.

W jesieni w roku 1928 rząd sowiecki zawarł umowę z amerykańskiem towarzystwem hutniczem pod firmą „Arthur G. Mc. Kee Company in Cleveland" na zbudowanie w ciągu trzech lat największej na świecie huty żelaznej na Magnetycznej Górze. Równocześnie przystąpiono do budowy linji kolejowej, łączącej Magnitną Górę z Kuznieckiem, gdzie także zaczęto budować ogromne huty żelazne i stalownie. Wyrachowanie jest to, że pociągi dowożące do Magnitogorska węgiel z Kuzniecka, będą z powrotem wiozły rudę żelazną do hut w Kuzniecku. W ten sposób opłaci się lepiej budowa i eksploatacja tej nowej linji kolejowej.

Firma „Mac Kee Company" już z końcem roku 1928 przysłała na miejsce swego głównego inżyniera Maxa Mac Mourraya z dziewiętnastoma innymi inżynierami. Natychmiast podjęto roboty. Przedewszystkiem zbudowano sześciokilometrową tamę na rzece Uralu, aby Magnitogorskowi zapewnić dostateczny zapas wody i mieć siłę do popędu ogromnej elektrowni. Dzisiaj pod Magnitogorskiem błyszczy też tafla sztucznego jeziora, zajmującego trzydzieści kilometrów kwadratowych powierzchni. Trzydzieści tysięcy robotników pracuje od trzech lat dzień i noc na trzy zmiany. Niemiecki zaś najsłynniejszy urbanista inżynier May z Frankfurtu sporządził plan nowoczesnego miasta, które pod nazwą Magnitogorska buduje się już wachlarzowato dla pomieszczenia dwustu tysięcy ludności, która znajdzie trwałe zatrudnienie przy hutach i innych związanych z niemi fabrykach.

Eksploatację samej rudy żelaznej rozpoczęto od szczytu południowego, zwanego „Ałtaszem". Wyrąbano w nim ośm wielkich tarasów, po których serpentynami biega kolej elektryczna. Na górnym tarasie ustawiono elektrycznie pędzone wiertarki i łamacze rudy, które też gryzą pilnie i żarłocznie to magnetyczne żelazo kęs po kęsie. A jak zgryzą pierwszą jego warstwę, przeniosą się na następny taras i zaczną swoją robotę od nowa.

Zbudowano ośm wysokich pieców, każdy po 35 metrów wysokości, a 1150 tonn rudy pojemności. Każdy taki piec daje dziennie tysiąc tonn czystego żelaza surowego. Więc roczna produkcja w samym Magnitogorsku wynosi cztery miljony tonn żelaza. Dodać potrzeba, że największe dotąd na świecie huty żelazne Gary w stanie Indjana dostarczają rocznie tylko trzy i pół miljona tonn, a budowa ich trwała lat dwanaście. Tymczasem w Magnitogorsku dwa pierwsze wysokie piece zostały rozpalone już w maju roku bieżącego, a do końca tego roku puszczonych zostanie w ruch sześć pozostałych. Nowa linja kolejowa, łącząca Magnitogorsk z Kuznieckiem, została ukończona w jesieni roku ubiegłego. Huty w Kuznacku także jeszcze w tym roku zostaną puszczone w ruch.

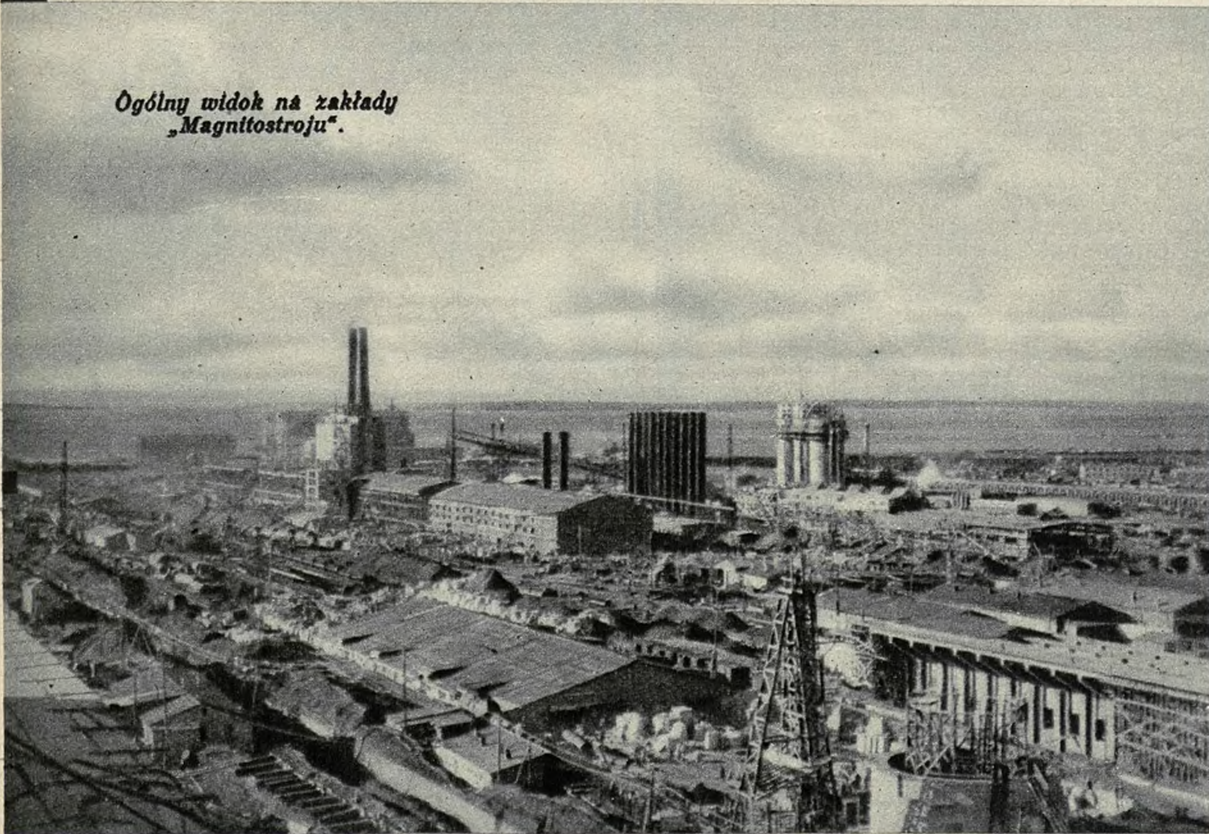
Tak więc tam, gdzie jeszcze przed trzema laty wędrowały stada wielbłądów i koni koczowników kirgizkich, dojadając resztki spalonej przez słońce stepowej trawy, dzisiaj huczą pociągi, dymią huty, wre dniem i nocą praca kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Utworzony został t. zw. „metalurgiczny kombinat" uralsko-syberyjski, który stanowi podstawę nowego ogromnego centrum ciężkiego i wojennego przemysłu, jaką stworzyły sobie Sowiety za dziewiątą górą i za dziewiątą rzeką, w miejscu niedostępnem dla najszybszych i najsilniejszych nawet samolotów wojennych ich nieprzyjaciół. Cały ten kombinat obrasta szybko ogromnemi fabrykami, które wydobyte i wytopione w Magnitogorsku i Kuzniecku żelazo będą przerabiały na różne narzędzia i przedmioty użytku. W pobliskim Czelabińsku zbudowano fabrykę traktorów, największą na świecie z roczną produkcją dwustu tysięcy sztuk. Sami bolszewiccy technicy przyznają jednak, że te traktory dziesięciotonnowe są djablo podobne do tanków, a fabryka ich tylko przez proste przestawienie obrabiarek może być w ciągu jednej nocy przeistoczona na fabrykę armat, karabinów maszynowych i wszelkiego rodzaju innego sprzętu wojennego.

Już w ciągu przyszłego roku Magnitogorsk razem z Kuznieckiem mają dawać ośm miljonów tonn surowego żelaza, odpowiednią ilość wszelkiej stali i innych przetworów. Dzisiaj już ustawione są w Magnitogorsku dwa t. zw. „Bloomingi" do walcowania stali, które krótki, półtorametrowy kloc stalowy w ciągu dwóch minut wyciągają w sztabę długości trzydziestu metrów. Za rok, a najdalej za dwa na tych bezkresnych stepach syberyjskich powstanie zatem jedno z największych centrów metalurgicznych świata. Sowiety są przekonane, że tu też leży główna podstawa ich potęgi i siły, zarówno obronnej, jak zaczepnej na przyszłość. Kto dożyje, przekona się, o ile to jest prawdą.

Zdjęcia „Unionbild" — Berlin.

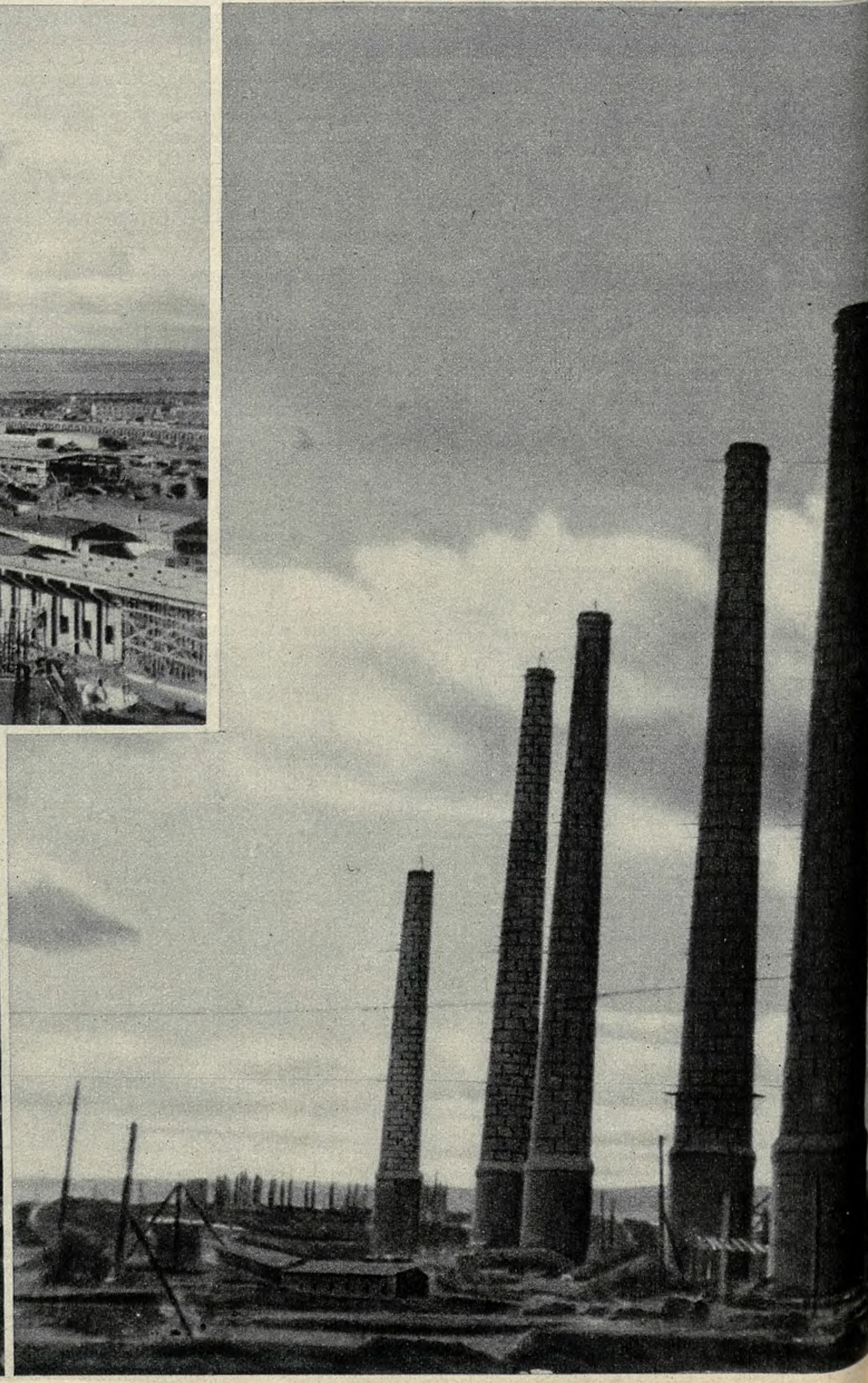
Pom.



Ogólny widok na zakłady „Magnitostroju".

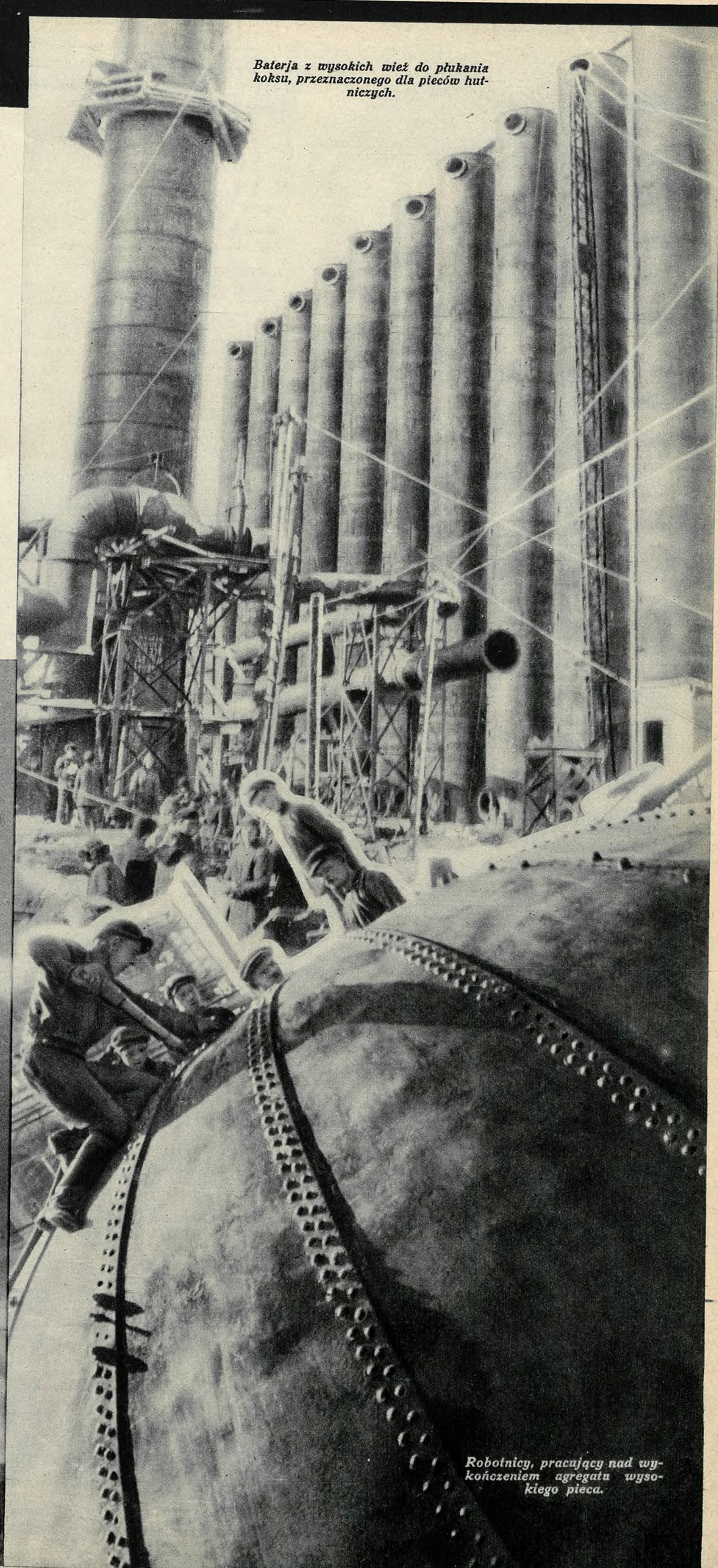


W krótkich przerwach od pracy, robotnicy słuchają mów propagandowych.





Szereg kominów nad kotłami opalanemi gazami hutniczemi.



Baterja z wysokich wież do płukania koksu, przeznaczonego dla pieców hutniczych.

Robotnicy, pracujący nad wykończeniem agregatu wysokiego pieca.

KUCHENKA SPIRYTUSOWA

CENA 12 ZŁ

WYRÓB KRAJOWY

Praktyczna



Bezpieczna



Składa się wygodnie, nie gaśnie na wietrze



Łatwa w użyciu



EMES



Nie szumi, nie kopci

WŚRÓD MIŁYCH DZIEWCZĄT W BYSTREJ

Są dwie Bystry, jedna koło Bielska, tuż na pograniczu Śląska, znana jako stacja klimatyczna dla gruźlików, a druga w powiecie myślenickim, granicząca z Osielcem. Nawiasem powiedziawszy, historycy Osielca dowodzą, że nazwa ta nie ma nic wspólnego z osłem, lecz że jest ona zniekształceniem poprostu Osiedla. Otóż obok tego osiedla rozciąga się Bystra, urocza wieś podgórska, przecięta wstęgą Skawy.

Osobliwością Bystrej pod Osielcem jest dom wypoczynkowy dla seminarzystek, zbudowany staraniem dyr. Henryka Pachońskiego. Korzystają z niego seminarzystki za bardzo tanią opłatą. Płaci się bowiem dziennie zł. 3.—, mniej zamożne otrzymują ulgi, uiszczając tylko zł. 50.— miesięcznie. Kilka miejsc jest bezpłatnych. Za tak skromną opłatą wychowanki otrzymują doskonały wikt 5 razy dziennie.

Aż przyjemnie patrzyć na te młode, roześmiane twarze, na doskonale wygimnastykowane ciała i na tę beztroskę, która wyziera z oczów seminarzystek, mieszkających w Bystrej.

Cały dzień spędzają na świeżem powietrzu, przedewszystkiem na plaży. Skawa w tem miejscu niegłęboka, tak, że o jakimś wypadku nie może być nawet mowy.

Pojawienie się gości z Krakowa wywołuje sensację. Dziewczęta cieszą się, że będą fotografowane i umieszczone w „Światowidzie". Oczywiście korzystam ze sposobności, aby zrobić mały wywiad.

— Co dzisiaj było na obiad? — pytam dziewczęcę o niebieskich oczach.

— Ach! Obiad był doskonały, zupa jarzynowa, befsztyk i galaretka malinowa.

— To sobie panie używają. A jakże ze sportami?

— Naturalnie uprawiamy je. Jest tu nawet wśród nas pewna Wisia, rekordzistka, co skacze na 1.40 m. wzwyż.

— Nie może być! To Pławczyk musi być w strachu.

Panna Wisia śmieje się i wyjaśnia:

— Ja jestem także specjalistką w biegach...

Każda zresztą z tych dziewczynek ma swoją specjalność. Ta pięknie deklamuje, ta śpiewa jak Ada Sari, ta doskonale wspina się po płotach, ta jest znakomitą tancerką, a ta jest mistrzynią w siatkówce, a ta potrafi zjeść 8 bułek do kolacji.

W Domu Zdrowia w Bystrej panuje swoboda. Nie ma tu dusznej i nienaturalnej atmosfery, tak typowej dla niektórych zakładów wychowawczych, gdzie robi się wszystko, aby wychowankom obrzydzić życie.

Bardzo często do Bystrej przyjeżdżają rodzice pensjonarjuszek i przekonują się naocznie, że oddali swe dzieci w najlepsze ręce. Przeciętny pobyt w Domu Zdrowia trwa miesiąc. Dom jest przez cały rok otwarty. Uczennice 4-go i 5-go kursu Seminarjum uczęszczają do szkoły w Osielcu, aby zapoznać się z praktyką pedagogiczną. W zimie jest uprawiane narciarstwo i ślizgawka. Charakterystycznem jest, że towarzystwo Domu Zdrowia, które jest właścicielem schroniska, nie korzysta z żadnych subwencyj, ani rządowych, ani samorządowych, lecz egzystencję swoją oparło na samowystarczalności. Zasada to bardzo zdrowa i honorowa. Społeczeństwo bowiem ma już dość tej ciągłej żebraniny, na najrozmaitsze cele, choćby najszlachetniejsze. W Bystrej rozwiązano ten problem znakomicie. Znalazło się grono chętnych osób, które założyły towarzystwo, które płacą wkładki i otaczają najgorliwszą opieką tą placówkę, wiedząc, że służą dobrej sprawie. Cóż bowiem może być ważniejszego, jak troska o zdrowie fizyczne i moralne przyszłych wychowawczyń, nauczycielek i matek i żon?

Niepodzielnie tej idei poświęcił się przedewszystkiem dyr. Pachoński, który Domem Zdrowia w Bystrej wystawił sobie piękny pomnik...

Wizyta moja w Bystrej ma się ku końcowi. Trzeba wracać do Krakowa. Na nieszczęście zaczyna padać ulewny deszcz. Uciekamy więc z plaży do najbliższych domów i spoglądamy z niepokojem na horyzont. Na szczęście znowu wyjaśnia się. Nawalnica przenosi się w okolice Limanowej i Sącza.

— Hip, hip, hurra!! — Żegnają nas dziewczęta.

W niedzielę i one wrócą do Krakowa, aby ustąpić miejsca nowej partji.

Jan Lankau.

Wszystkie zdjęcia wykonane przez specjalnych wysłanników Ag. Fot. „ŚWIATOWID"



Seminarzystki, które w Bystrej przepędziły lipiec — na tle bramy wjazdowej.

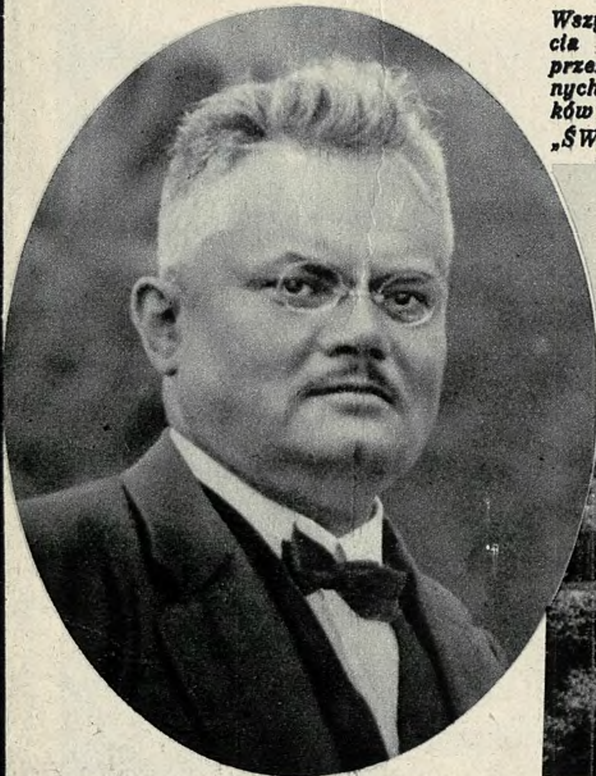


Idylla przy płocie i na płocie.

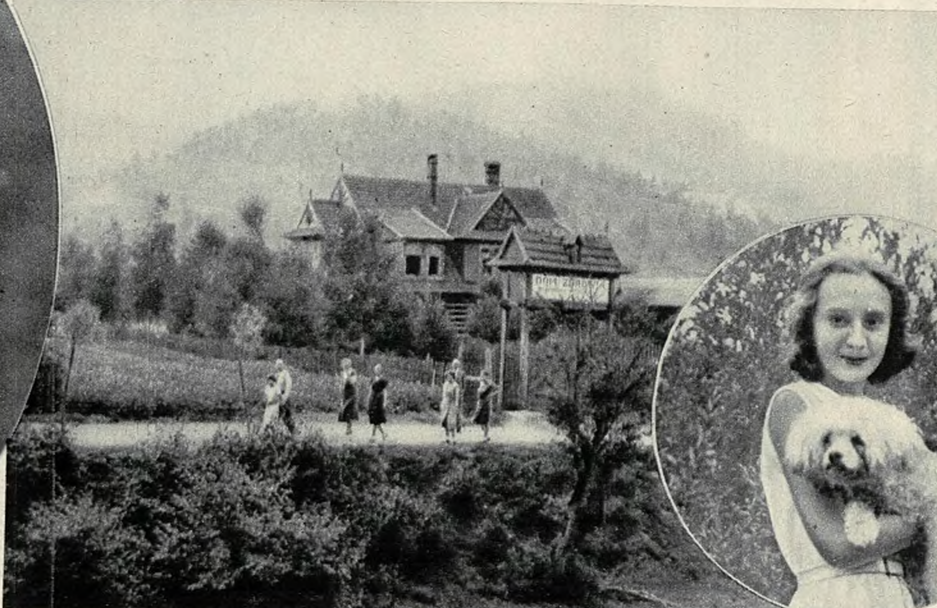


Panna Wisia, najlepsza lekkoatletka w Bystrej. Skacze na 1·40 m.

Na lewo: Wesołe pląsy w Skawie.



Dyr. Henryk Pachoński z Krakowa, zasłużony pedagog i społecznik, założyciel Towarzystwa Domu Zdrowia w Bystrej, dla polskich uczennic seminarjów żeńskich w Krakowie.



Ogólny widok Domu Zdrowia w Bystrej, im. Henryka Pachońskiego (pow. Myślenice, woj. krakowskie).

Miss Bystra.

SMUTNA KRAINA POLESIE.

Do najmniej stosunkowo znanych i zwiedzanych okolic Polski należy Polesie. Mało kto wie o Polesiu coś więcej ponad to, że jest to wielki obszar bagien i moczarów, który w wybraźni naszej kojarzy się zazwyczaj z jakimś równinnym, nieciekawym krajobrazem i z ludem biednym, zapomnianym wśród bagien przez Boga i ludzi.

Obserwowany z okien wagonu, nie przedstawia krajobraz poleski nic szczególnie pociągającego, lub ciekawego. Monotonną równinę mokradeł przerywają co pewien czas piękne lasy sosnowe i długie rzędy brzóz. Doznaje się nawet uczucia zawodu, dopóki się nie wie, że Polesie jest krajem, w którego sercu trzeba stanąć, aby się rozmiłować w bagnach, lasach, wodach i przepięknem niebie. Nawet plaga Polesia — bardzo dokuczliwe komary, od których puchnie ludzkie ciało — staje się we wspomnieniach nie tak straszną, aby się jej nie można poddać dla poznania osobliwości, nieznanych gdzieindziej w Polsce, wobec których malarz, fotograf i etnograf nie może pozostać obojętny, o ile tylko ma duszę wrażliwą na pierwotne piękno natury i ludu.

Bez przesady uznać można Polesie, jako przedziwnie egzotyczną krainę w Polsce współczesnej. Egzotyczny jest lud w swych zwyczajach i sposobie życia, egzotyczny jest krajobraz w bezmiarze wód i bagien (zwłaszcza wiosną), egzotyczny jest kraj cały, w którym się siano kosi pod wodą, a młodą parę zaraz po ślubie i weselu zamyka się w specjalnie do tego przeznaczonej szopie, gdzie młodzi muszą mieszkać i wytrwać, aż do narodzin pierwszego dziecka. Ci „młodzi“ są naprawdę młodzi, albowiem małżonek miewa czasem lat 18! „Świeżo upieczona“ poleska żona zdaje się w czasie uczty weselnej nie zwracać żadnej uwagi na pijacką radość otoczenia. Siedzi cały czas, jak mumja, twarz jej nie drgnie uśmiechem, aby się potem nie nazywało, że „mąż ma głupią żonę“.



Na wodach Bobryka, dopływu Prypeci.

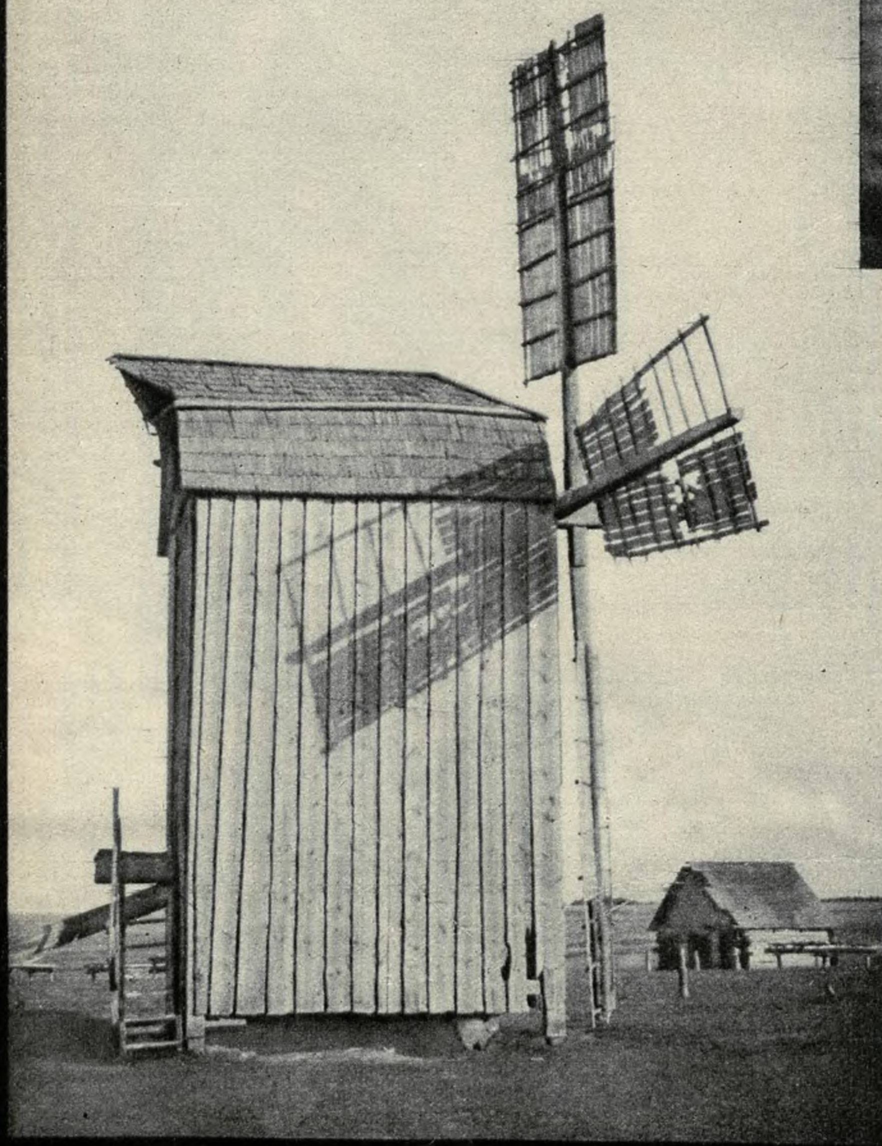
Zdjęcia Fot. A. Wieczorka — Zakopane

Jednem słowem, wesoły naród, który chce mieć tylko mądre żony. Zato krajobraz mają pełen niewysłowionej, a miłej melancholji. Niema tam melancholji ciężkiego smutku; jest to cichy, senny smętek wśród brzęku komarów, jest to żal jakiś, który dniem i nocą wisi nad wodami. Nie zapomina się szybko chwil, spędzonych w tym nastroju na łódce wśród labiryntu wód, wśród przecudnych wschodów i zachodów słońca na niebie, pełnem niesamowitych w kształcie i kolorycie chmur. Nie można oderwać się od wspomnienia nocy, spędzonej w łodzi na jeziorze Holcza przy rechocie niezliczonych żab, wśród rozgwaru najróżniejszego ptactwa błotnego, przy mruganiu gwiazd. Kto zaś, rozespany, otrzyma o świcie bezpłatną a niezamierzoną kąpiel w jeziorze, niech się nie martwi: Poczciwe poleszuki wysuszą go za godzinę.

Istnieje na Polesiu bardzo ciekawa wieś — Mołodylczyce. Położona wśród bagien, pokrajana w pewnych porach roku wodami, nie zna ona ruchu kołowego. Każdy mieszkaniec ma wiosło, a komunikacja odbywa się na łodziach. W tej to „wiejskiej Wenecji“ dostrzec można z łatwością parę wielkich drewnianych krzyżów, na których zawieszono pewną ilość kawałków płótna zgrzebnego z wyszytemi nań krzyżykami. Są to wota, składane w nocy, pocichutku przez poleskie panienki, które boją się dzieci... A że są przytem niezbyt piękne, zaś ilość wotów nie jest mała, więc można wnioskować, że temperament poleskich dziewcząt stoi w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do ich urody.

Żony poleskie nie znają jeszcze „systemu jednego dziecka“, nie słychać więc o tem, aby zawieszały wota. Ale możeby tak ten miły zwyczaj (i zapewne skuteczny!) przeszczepić do — Warszawy? W dobie kryzysu handel płótnem ożywiłby się niebywale...

Antoni Wieczorek.



Charakterystyczny wiatrak poleski w Parachońsku.



Stogi siana na Polesiu.



Typy poleskie z Parachońska.

GORGUŁOW SKAZANY NA KARĘ ŚMIERCI.

(Korespondencja własna „Światowida“).

Paryż, w lipcu.

Historyczny dramat, który rozegrał się w maju w pałacu Rotschilda w Paryżu na wystawie książek b. uczestników wojny światowej, znalazł swój pełen emocjonującego charakteru epilog w ostatnich dniach lipca przed sądem przysięgłych w Paryżu. Dzienniki, które już na kilka dni przed terminem trzydniowej rozprawy przeciw Gorgułowowi, mordercy prezydenta Doumera, żywo zajmowały się możliwym przebiegiem rozprawy i wszystkimi jej uczestnikami, zamieszczając ich podobizny, opublikowały także dwie fotografje, które w swojej prostocie bez komentarzy najsilniej i najgłębiej przemówiły. Jedna z nich — to fotografja z przed roku, gdy po szerokich schodach Pałacu Sprawiedliwości wstępuje nowoobrany prezydent Republiki francuskiej, Paweł Doumer, w towarzystwie sztabu najwyższych urzędników sądowych z prezesem sądu Eugenjuszem Dreyfussem na czele. A druga fotografja przedstawia moment, jak po tych samych schodach wstępuje, udając się do sali rozpraw Eugenjusz Dreyfuss, ażeby sądzić przywiezionego do gmachu sądu w dniu poprzednim wieczorem mordercę prezydenta.

Te same schody pięknego pałacu widziały uroczystość pierwszej wizyty Pawła Doumera w siedzibie sprawiedliwości francuskiej i te same widziały jego mordercę, udającego się w chorobliwej ekstazie, ażeby wysłuchać wyroku, który stanie się finałem tej historycznej rozprawy.

Trzy dni trwał proces, trzy dni z niezwykłem napięciem przebieg jego śledziła cała Francja, trzy dni nieliczna publiczność, która została dopuszczona do sali rozpraw, targana była najrozmaitszemi uczuciami od nienawiści do litości, nie rozumiejąc tej posępnej postaci, która zasiadła na ławie oskarżonych, nie rozumiejąc jej słów i jej histerycznego zachowania się.

Przeważną część tej publiczności stanowią prawnicy, którzy w liczbie przeszło 100 zjawili się na tę rozprawę. Z „cywilnej“ publiczności dopuszczono zaledwie tylko 50 osób. Obawiając się jakichś incydentów, utrudniono bowiem wstęp na salę rozpraw do najdalszych granic. Oprócz zwyczajnych formalności, trzeba było mieć specjalną kartę z fotografją, na której identyczność jej posiadacza zatwierdził sam prokurator. W głębokiej ciszy padają słowa pierwszego prezesa Dreyfussa:

— Otwieram rozprawę... Proszę wprowadzić oskarżonego!

Wejście Gorgułowa w otoczeniu trzech policjantów następuje w momencie głębokiej ciszy, prawie tragicznego skupienia. Przy uroczystych strojach sędziowskich, przy gronostajach prokuratora, Gorgułow, którego chętnie ujrzanoby jako demoniczne wcielenie szaleńca, wygląda raczej mdło i nieznacząco. Jest blady, włosy nieuczesane. Podczas całej rozprawy zachowuje się tak, jakby nie chodziło tutaj o niego, milczy wpatrzony bezmyślnie przed siebie i nagle zrywa się histerycznie ze swojej ławy i wykrzykuje słowa, których gorąca treści nie podkreśla drewniany i załamujący się spazmatycznie głos. I po takim wybuchu, zazwyczaj przerywanym sucho przez przewodniczącego, siada znowu w tępem odrętwieniu. Gdy odczytują jego życiorys protestuje, gdy chodzi o drobiazgi i nic nie znaczące szczegóły. Jest rzeczą zupełnie widoczną, że jest on człowiekiem opanowanym przez dwie manje: manję wielkości i manję prześladowczą. To, co mówi, jest chaotyczne, niezrozumiałe, sprzeczne. Zacieśnia się atmosfera gilotyny: nic nie tłumaczy szaleńczego i krwawego jego czynu. Padają w próżnię słowa obrońców, powołujących się na poprzednie orzeczenie lekarzy w sprawie niepoczytalności mordercy i jego zupełnego zamroczenia alkoholem w momencie zbrodni. Jest rzeczą zupełnie jasną, że zbrodnia została przygotowana planowo, że mord został wykonany z premedytacją. Jest rzeczą zupełnie widoczną, że Gorgułow jest odpowiedzialny za swój czyn, a przeciw jego nieprzytomności, spowodowanej upiciem się bezpośrednio przed dokonaniem morderstwa, przemawia mała blaszanka, leżąca przed przewodniczącym, którą Gorgułow napełnił koniakiem w dniu morderstwa i wychylił na pewien czas przed przyjściem do pałacu Rotschilda. Nie był zupełnie pijany, był przytomny i działał świadomie.

Całe życie tego dziwacznego człowieka przesuwa się w procesie, jak najbardziej fantastyczny romans kryminalny. To jest powieść chorej psychologji, powieść o dziczy kozackiej, zmieszanej z chorobliwem apostolstwem, powieść o urojonym ideale zrodzonym w mózgu człowieka, który najszlachetniejsze słowa potrafi łączyć z najohydniejszemi czynami. Urodził się w odciętej od świata wiosce kozackiej, jako syn chłopa. Jak spędził dzieciństwo, jak spędził młodość — niewiadomo. Wypływa dopiero podczas wojny, jako żołnierz jednej z formacyj kozackich. Tam wykształca się jego chorobliwa fantazja, jego przekonanie, że mord może być jakimkolwiek atutem w przeprowadzaniu pewnej idei. Bierze udział w rzeziach i gwałtach, dyktowanych krwawemi oparami zwierzęcości wojennej. Potem jest studentem w Rostowie, gdzie żeni się z córką jednego z profesorów, ale porzuca ją i jedzie na tułaczkę po Europie. Jest w Warszawie, potem w Pradze. Tam żyje przez kilka lat, utrzymując się przeważnie z sutenerstwa. Wędruje po Niemczech, wypływa znowu w Czechosłowacji, jako doktór, wyzyskuje pewne stosunki, szantażuje, wykonuje niedozwolone zabiegi, wkońcu żeni się z córką b. posła i burmistrza miasta i zabiera się do pracy, którą nazywa literacką. To, co pisze, jest niemniej chorobliwe i nieoparte na żadnym pionie, jak jego życie. Potem następuje jego okres paryski. Tajemniczy i dziki okres. Wieczorem nie ma na kolację, na następny dzień rzuca tysiącami franków. Paryż, Riwjera, znowu Paryż i morderstwo prezydenta.

— Nie chciałem zabić Pawła Doumera, chciałem zabić prezydenta Francji!

Powód tego pozostaje niewyjaśniony w toku procesu. Wszystko to, co mówi Gorgułow, nie jest oparte na żadnej podstawie rozumowej. Są niezbite dowody, że Gorgułow był bolszewikiem, że był okresami na żołdzie sowieckim, że działał z pobudek przesłanych mu z kraju czerwonego cara.

Specjalnie dramatyczne jest przesłuchanie żony Gorgułowa, która mówi o nim tak, jak mówić może tylko kobieta, która kochała. W jej słowach staje Gorgułow normalny, który dopiero kilka dni przed popełnieniem zbrodni wpadł w jakiś niesamowity trans.

— Litości dla ojca moich dzieci! — woła nieszczęsna kobieta.

Ale słowa te jak i wszystkie wykrzykniki mordercy, skierowane pod adresem Francji, padają w głuchą pustkę. Wszyscy od pierwszego dnia rozprawy zdają sobie dokładnie sprawę z tego, że Gorgułow nie ma żadnego usprawiedliwienia. I oto nadchodzi trzeci dzień rozprawy. Po długiej mowie prokuratora sędziowie przysięgli — ci urzędnicy, kupcy, przemysłowcy paryscy, którym przypadł w udziale sąd nad mordercą prezydenta ich ojczyzny — wychodzą na naradę. Narada trwa bardzo krótko: winny... I na tej podstawie jednomyślnego osądzenia Gorgułowa, jako winnego, sąd wydaje wyrok skazujący na śmierć.

Śmierć za śmierć...

Na twarzy Gorgułowa kamienna, blada maska obojętności. Przecież w swojem ostatniem słowie sam domagał się dla siebiee kary śmierci. Na sali lekkie poruszenie — pierwszy wychodzi ambasador Sowietów, Dowgalewski... Powoli opróżnia się sala, wynosząc do czekającego tłumu wiadomość: Gorgułow skazany na śmierć.

ent.



Wynoszenie śmiertelnie rannego śp. prezydenta Doumera z wystawy książek do szpitala.
Scherl — Berlin.





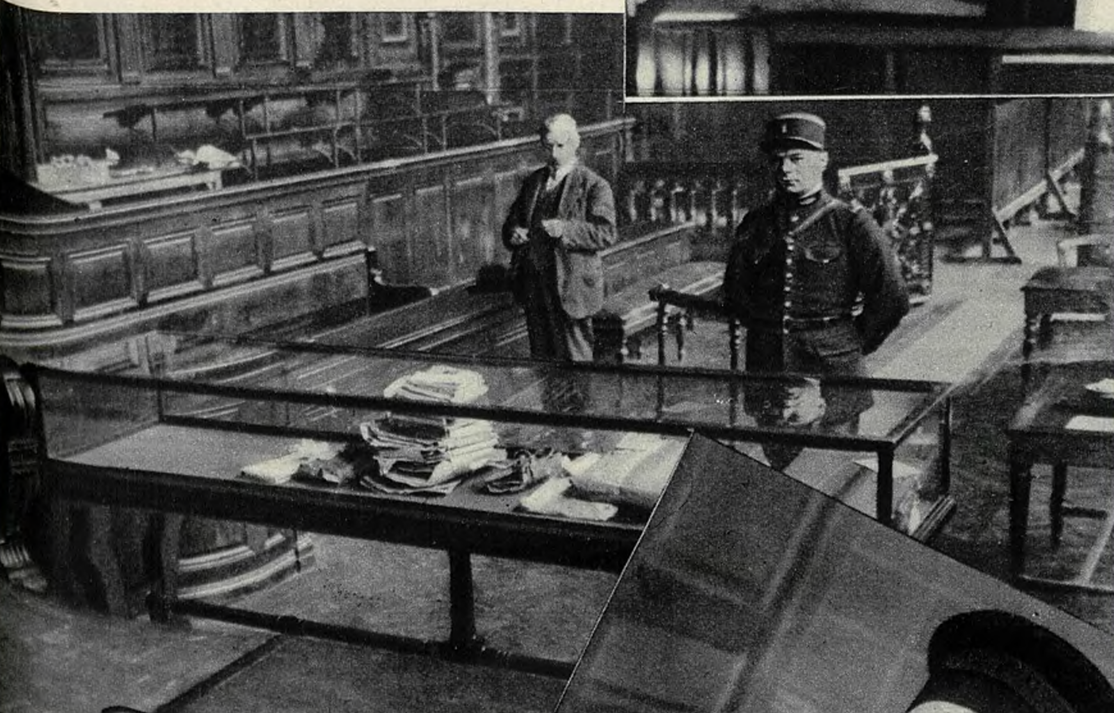
Trybunał, który sądził Gorgułowa.
Keystone, Paris.



Rosyjski emigrant Gorgułow, który w maju b. r. dokonał zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej został skazany przez sąd przysięgłych w Paryżu na karę śmierci przez ścięcie gilotyną.



Posterunki policyjne badające legitymacje publiczności, udającej się na salę rozpraw.



Obrońcy Gorgułowa: adwokat Rocher (po prawej i adwokat Geraud (obok).

Dowody rzeczowe na sali rozpraw, złożone w specjalnej szafce oszklonej. Znajduje się wśród nich rewolwer, przy pomocy którego Gorgułow dokonał zbrodni.



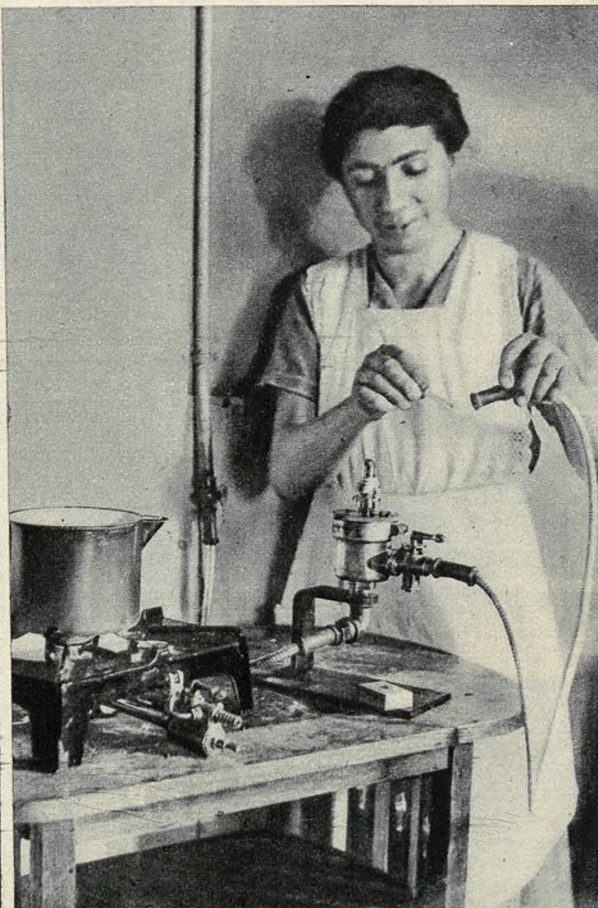
Przewodniczący Trybunału Dreyfuss. Wide-World Photos — Paris.



Małżonka Gorgułowa. Prosiła ona o litość nad swym mężem.
Wide-World Photos — Paris.

ROZMAITOŚCI.





Obok: **NIE BĘDZIE JUŻ ZATRUĆ GAZEM!** Monachijskie biuro konstrukcyjne Niesla dokonało epokowego wynalazku, uniemożliwiającego przypadkowe zatrucie gazem świetlnym. W tym celu na kuchenkę gazową zakłada się przyrząd, złożony z dwóch części. Pierwsza z nich zamyka automatyczn eikurek, gdy jest on nieszczelnie zamknięty, druga zaś pozwala na wydobywanie się gazów, tylko wtedy, gdy jest on zapalony. Może wynalazek ten położy tamę nieszczęśliwym wypadkom, które jakże często dotykają osoby korzystające z gazu.

NIECO O BURSZTYNIE. Bursztyn jest to żywica kopalna, pochodząca z drzew iglastych z dawniejszych okresów geologicznych. Występuje zwłaszcza na wybrzeżu Bałtyckiem, szczególnie na zachód od Królewca. Fale morskie wymywają go z piasku i wyrzucają na brzeg. Z dna morskiego wyławiają go specjalnemi sieciami. Bursztyn był ogromnie ceniony w pierwszych wiekach po Chrystusie przez Rzymian, którzy urządzali za nim specjalne wyprawy na Bałtyk. Jeden z tych szlaków bursztynowych biegł także przez Kraków i Kalisz. Obecnie bursztyn wyszedł z mody. Mimo to istnieje cały przemysł, zajmujący się obróbką tego cennego surowca. Zdjęcie przedstawia dziewczynkę, trzymającą w ręku olbrzymi kawał bursztynu, wyłowiony na polskiem wybrzeżu.



TARG PSZCZELNY W HOLADNJI. Corocznie w lipcu odbywa się w Venedaal w Holandji ogromny targ (na zdjęciu) na produkty pszczelne, jak miód, wosk itd. Hodowla pszczół w Holandji opłaca się, ponieważ miód jest tam powszechnie spożywany, nie tak jak u nas, gdzie używają go tylko chorzy. W dawnych wiekach Polska należała w Europie do krajów produkujących największe ilości miodu. Nawet Niemcy swoje słowo „meth" zapożyczali od polskiego — miód. Szczególnie z bartnietwa słynęły Kurpie, Małopolska wschodnia, Kresy i Śląsk.



CMENTARZE Z CZASÓW WIELKIEJ WOJNY. Jeden z największych cmentarzy wojennych świata znajduje się w okolicy Arras, w St. Laurent-Blangy. Leży na nim kilkanaście tysięcy Niemców. W pobliżu znajduje się także cmentarz aljantów. Arras było niejednokrotnie punktem centralnym walk na froncie zachodnim. Od 25 września do 13 października 1915 r. próbowali tu Anglicy przełamać niemiecki front. W ofensywie wiosennej w 1918 r. (od 21. III. do 25. IV.) Niemcy odnieśli tu pewne sukcesy, okupione straszliwemi ofiarami. Wyszukiwaniem zwłok i przygodnych grobów na pobojowiskach zajmowały się specjalne kolumny, złożone ze starszych roczników. Szeregowi z tych kolumn, uzbrojeni w długie kije, okute na końcu, krążyli po polach bitew, kiedy front posunął się już daleko naprzód i starali się znaleźć te miejsca, gdzie z pośpiechu grzebano poległych. Nie było to łatwe zadanie, gdyż niejednokrotnie mogiły takie szybko równały się z ziemią i zarosły trawą i zielskiem. Poszukiwacze jednak trupów doszli z czasem do takiej doskonałości, że z najdrobniejszych wzniesień w terenie określali groby, nie myląc się prawie nigdy. Aby sprawdzić swoje przypuszczenia, wbijali oni w ziemię kij na głębokość mniejwięcej metra i wąchali, czy nie czuć. Po rozkopaniu grobu starano się przedewszystkiem zidentyfikować zwłoki. Znalezioną przy trupie kartę tożsamości i przedmioty chowano do specjalnego woreczka i odsyłano do centrali, zwłoki zaś chowano po raz wtóry na masowych cmentarzach. Pomimo tak skrupulatnych poszukiwań, istnieje jeszcze tysiące grobów nierozpoznanych. Cmentarze wojenne są celem wycieczek, szczególnie ze strony młodego pokolenia, które wojny nie widziało. Zdjęcie nasze przedstawia niemiecki cmentarz wojenny w St. Laurent. Na pierwszym planie młodzież niemiecka, zwiedzająca ten cmentarz.

KANIKUŁA W ŁODZI.



Palące promienie słońca wyludniły zwykle przepełnioną spacerowiczami promenadę łódzką (ul. Piotrkowska).



Artyści teatrów łódzkich rozkoszują się promieniami słońca na plaży. Z prawej strony świetny trener pływacki z Ł. K. S· Ślązak p. Jerzy Pałdygół.

Niema chyba w Polsce miasta, któreby tak silnie reagowało jak Łódź na upał, ogórki, no i to wszystko, co nazywamy — krótko mówiąc — kanikułą. Ledwie oznaki na niebie, ziemi i w rodzinie zaczną wskazywać zbliżanie tego pięknego okresu, a już się Łódź zmienia nie do poznania. Pierwszą oznaką zbliżających się zmian są nowe tematy, nowe bon mot'y w rozmowach prywatnych i dowcipach kawiarnianych. Kryzys i plajta przestają być wszechaktualnym tematem witzów łódzkiego life'u, raz wraz pojawiają się nowe wdzięczne kawały i rozmówki na temat urlopu, wyjazdu do Krynicy, (łodzianki mają pasję do tego uzdrowiska), Zakopanego i nad morze. To są pierwsze zwiastuny zbliżania się wszechwładnej Pani-Kanikuły. Wraz z nią przybywają nowe kłopoty i troski największym męczennikom świata, ślubnym mężom pięknych łodzianek. Właściwie cała istota tragedji sprowadza się w Łodzi, podobnie zapewne jak i w innych miastach do jednego krótkiego i niewinnego słówka: gotówka!

I tutaj należą się słowa podziwu niewyczerpanym w swej pomysłowości łodzianom, dostojnym małżonkom pięknych żon. Pomimo, że całą zimę i resztę pór roku toną w powodzi protestów wekslowych, w jakiś nieopatentowany dotychczas sposób potrafią zdobyć nieco gotówki na ten krótki i rozkoszny a zarazem pełen udręki okres kanikuły i wysłać magnifikę do wód.

Faktem w każdymbądź razie jest, że Łódź w okresie obecnym, w pełni kanikuły zionie pustką. — Że pustki są w sklepach i składach, których właściciele stoją smętnie na progu i z utęsknieniem wypatrują klijenta, że pusto jest w wszelkiego rodzaju urzędach podatkowych — to nie nowina. Ale równa pustka panuje na gwarnych i pełnych zazwyczaj skłębionego tłumu spacerowiczów centralnych ulicach Łodzi, a szczególnie na najbardziej uczęszczanym zazwyczaj odcinku ulicy Piotrkowskiej, od Traugutta do Zamenhoffa — łódzkim „deptaku". — Równą pustką zioną kawiarnie, drugi dom i kantor łódzkiego businesmana. Przytłoczona ogólną kanikułą, jakby zaraziwszy się od ziewających w kącie kelnerów, podwinęła również skrzydła wiecznie żywa i interesująca plotka kawiarniana, fruwająca kronika life'u łódzkiego.

Co się stało z Łodzią, z temi tłumami pięknych kobiet i pełnych swoistego rozmachu gentelmanów, którzy w porze fajfu zapełniali zazwyczaj kawiarnie łódzkie?

Nie bójmy się: są. Piękne łodzianki napełniają w tej chwili zapewne swym szczebiotem i srebrnemi kaskadami śmiechu wszystkie podmorskie kąpieliska od Gdyni po sam czubek Helu, uzdrowiska krajowe i miejscowości klimatyczne od Krynicy począwszy, poprzez Babkę, Zaleszczyki, Jaremcze, Ciechocinek i inne, na pobliskiej Wiśniowej Górze i Kolumnie skończywszy, dzielni łodzianie wprowadzają w drżenie serca niewieście w wszystkich zakątkach kraju. A tych, których obowiązek zatrzymał w mieście, spotkać można z całą pewnością w niedzielę na podmiejskiej wycieczce w parku Stefańskiego w Rudzie Pabjanickiej, lub w ostatniej ostoi zgnębionego kanikułą łodzianina, na plaży ŁKS-u.

— Co znaczy ŁKS-u? — może się spytać nie obznajomiony z tajnikami sportu zamiejscowy czytelnik Światowida. Spieszę tedy wyjaśnić. Trzy te magiczne litery są skrótem nazwy popularnego tutejszego klubu sportowego, zwanego Łódzkim Klubem Sportowym. Otóż władze tego klubu, w chwili arcymądrego natchnienia wpadły na kapitalną myśl zbudowania na swym stadjonie przy Al. Unji wspaniałego basenu i plaży. I co ważniejsza, pomysł ten szybko zrealizowały, obdarzając miasto nasze, pozbawione przez Boga i naturę jakiejś porządnej rzeki, zaimprowizowanem kąpieliskiem pierwszej klasy.

Ten to basen ŁKS-u stał się w roku bieżącym, w okresie królowania wszechprzygnębiającej kanikuły Mekką i Medyną tych nieszczęśników, których los skazał na spędzenie lata w Łodzi.

Plaża tedy przy Al. Unji zastępuje łodzianom i nadobnym łodziankom wszelkie nadmorskie kąpieliska z nieodłącznemi ich ponętami, tutaj spotkać można całą elitę towarzyską Łodzi, zajętą kąpielą, flirtem, czy plażowaniem, bądź uprzyjemniającą sobie czas brydżem. Na tej zaimprowizowanej plaży łódzkiej założyły obóz najrozmaitsze grupy i zawody. Prym na plaży i przy bufecie, jak również przy bridżu wiedzie palestra łódzka, która zrzuciwszy togi i birety, szuka tutaj ochłody. W grupie pięknych dam królują urocze artystki teatrów łódzkich, zapalone i opalone pływaczki, równie urocze na plaży w kostjumach kąpielowych, jak poprzednio na scenie w przepychu tualet. Są tutaj również i męskie filary sceny łódzkiej, a jakże. Siedzą w malowniczych pozach w cienistym zakątku i grają... Narazie w bridża, omawiając między sobą ostatnie wydarzenia w świecie teatralnym Łodzi.

Ogromnym mirem wśród bywalców basenu cieszy się doskonały trener pływacki ŁKS-u, długi jak tyczka, morowy śląski „pierun" p. Pardygół, człowiek, który najbardziej podtatusiałych przemysłowców i mecenasów łódzkich potrafił nauczyć kunsztu pływackiego, dzięki swej niewyczerpanej cierpliwości. Raz wraz rozlega się ostra komenda tego doskonałego instruktora, który w jakimś mieszanym djalekcie górnośląsko-łódzkim, a jednak do skonale zrozumiałym dla jego tutejszych uczniów, grzmi na całą plażę: „Die ręce zusamen — razem panie mecenasie!". I biedny mecenas, czy inny inżynier, który zdążył już bez mała wypić połowę basenu, pokorny, jak baranek, rzuca się znowu w otchłań wodną.

Spojrzenia płci pięknej przyciąga ku sobie oczywiście mistrz świata, popularny niezmiernie na ringach atletycznych piękny Jugosłowianin Stibor. Szampion ten uległ w swoim czasie wdziękom jednej z pięknych Łodzianek i pozostał na stałe w Łodzi. Obecnie otoczony zwykle wieńcem pięknych pań, odpoczywa po trudach zmagań atletycznych na plaży łódzkiej.

Plaża jest tym czynnikiem, który odgrywa doniosłą rolę „wyrównywacza" nierówności społecznych. Srogi pan szef traci tutaj cały tupet i sapiąc, goni za piłką wśród niezawsze dyskretnych uśmiechów i co gorsza, patrzeć musi, jak piękny młodzian bałamuci mu przyjaciółkę, która o zgrozo, przenosi dobrego, ale „gołego" w przenośni i dosłownie sportsmena nad niego. Brak stroju odmienia kompletnie ludzi. Dopiero na plaży okazuje się, że taki np. zawodowy odtwórca wszelkiego rodzaju niedołęgów sceny łódzkiej, jest doskonałym pływakiem, podczas gdy „bohaterski amant" i „czarny charakter" wogóle się boją wody w większych ilościach, przenosząc nad nią również duże ilości innych krzepiących płynów. Wszystko, to, oprócz wielu innych ciekawych rzeczy, stwierdzić można na plaży. Plaża jest także cudownym terenem do nawiązywania uroczych i trwałych nieraz znajomości (na jedno lato). Pod tym względem plaża przewyższa stanowczo dancing.

Nic więc dziwnego, że dzięki plaży wielu łodzian, szczególnie młodszych i mniej wymagających, pogodziło się nawet z tegoroczną okropną kanikułą.

M. W.



Zabawy w basenie Ł. K. S. po żmudnej nauce pływania.



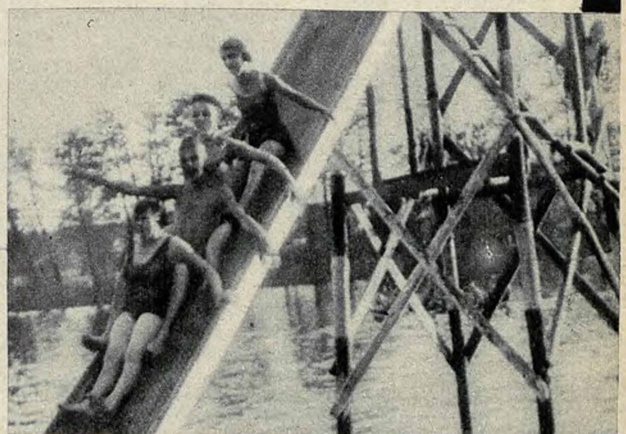
Mistrzyni Polski w trójboju, wszechstronna sportsmenka p. Marysia Kwaśniewska trenuje gorliwie pływanie.



Asy palestry łódzkiej przy brydżu na plaży.



Skocznia na stawie podmiejskim w Rudzie Pabjanickiej pod Łodzią.



Zabawy na plaży podmiejskiej w Rudzie Pabjanickiej.

ZATONIĘCIE ŻAGLOWCA »NIOBE«

Dnia 26 lipca b. r. niemiecki żaglowiec szkolny „Niobe" płynął w pobliżu wyspy Fehmarn około godz. 2 popołudniu z szybkością 3—5 węzłów na godzinę. — Wyspa Fehmarn leży na Bałtyku, należy do rejencji szlezwickiej i oddalona jest od lądu stałego cieśniną Fehmarnsund, szeroką na 1.500 m.

Właśnie załoga złożona z kadetów, kształcących się na przyszłych oficerów morskich, zajęta była ćwiczeniami, gdy nagle zupełnie niespodziewanie okręt został pochwycony przez trąbę powietrzną i zatonął w ciągu kilku minut. O godz. 2.27 katastrofa „Nioby" została zauważona przez znajdujący się w pobliżu parowiec „Teresie Russ", który też natychmiast pospieszył na ratunek, niestety jednak mógł zabrać na pokład tylko kilku rozbitków, walczących rozpaczliwie z falami. Ogółem wedle ostatnich obliczeń, wraz z „Niobą" zatonęło 69 kadetów i oficerów.

Jeden z uratowanych tak opowiada o ostatnich chwilach, poprzedzających zatonięcie:

„Kiedy mijaliśmy wyspę Fehmarn zaczęło trochę oziębiać się. Równocześnie horyzont na południowym zachodzie zaczął zasępiać się. Około godz. 2-giej uwaga załogi skoncentrowała się na olbrzymim hydroplanie „DO X", który ukazał się w oddali, szybując z wielką szybkością. Ścigaliśmy go wzrokiem, gdy nagle przyszło nieszczęście. Jak się to stało dotąd nie wiem? Słyszałem jeszcze komendę „Ruder hart Steuerbord"! — Nagle przeraźliwie zawiało. Uderzył w nas prawie prostopadle orkan. Wszystko zaczęło się kręcić. „Niobe", jak zabawka przewróciła się i byliśmy już pod wodą. Widziałem koło mnie kolegów, borykających się rozpaczliwie z wirami. W tem jakaś silna ręka wyciągnęła się ku mnie. Należała ona do marynarza z okrętu „Teresie Russ", który pospieszył nam na ratunek.


Żaglowiec niemiecki „Niobe", który zatonął na Bałtyku wskutek burzy. W katastrofie tej zginęło 69 ludzi.

Badania podjęte następnego dnia przez kierownictwo floty wykazało, że „Niobe" leży na głębokości 20 m.

Uratowanych kadetów w liczbie 40 tu przewiózł do portu w Kilonji pancernik „Köln".

Dawniejszy komendant „Nioby" kapitan Kümpel, który przed trzema miesiącami oddał komendę tego okrętu kapitanowi Ruhfussowi, wyraził przekonanie na podstawie długoletniego doświadczenia, że kierownictwo „Nioby" w niczem nie zawiniło. Są bowiem takie sytuacje, że wszystko zależy od wytrzymałości statku, który staje się igraszką potężnych sił, rozpętanych nagle, tak, jak to miało miejsce właśnie przy katastrofie „Nioby".

Inni jednak fachowcy są zdania, że pomimo wszystko dowództwo „Nioby" nie stanęło na wysokości zadania, płynąc pełnemi żaglami, pomimo zbliżającej się burzy, choć rozum nakazywał zwinąć górne żagle. Rozkaz ten jednak wydano zapóźno.

Prasa niemiecka przypomina z okazji zatonięcia „Nioby" inne katastrofy niemieckich okrętów. I tak w 1860 r. zatonął z całą załogą pruski okręt „Frauenlob" koło japońskiej wyspy Jeddo, dostawszy się w trąbę powietrzną. — Podobny los spotkał w rok później okręt szkolny „Amazone" koło wybrzeża holenderskiego. Nie uratował się wtedy ani jeden człowiek. W marcu 1889 r. orkan zniszczył koło wyspy Samoa 2 korwety „Adler" i „Eber", utonęło wtedy 93 marynarzy. W 1897 r. kanonierka „Iltis" rozbiła się o skały w pobliżu Szantungu. W grudniu 1900 r. okręt szkolny „Gnaisenau" został w Maladze rzucony na molo i roztrzaskany. 41 ludzi poniosło wtedy śmierć. W grudniu 1922 r. holownik „Antrax" padł ofiarą burzy. Zatonęło wtedy 14 osób. — Jak widzimy, marynarkę niemiecką prześladuje pech.

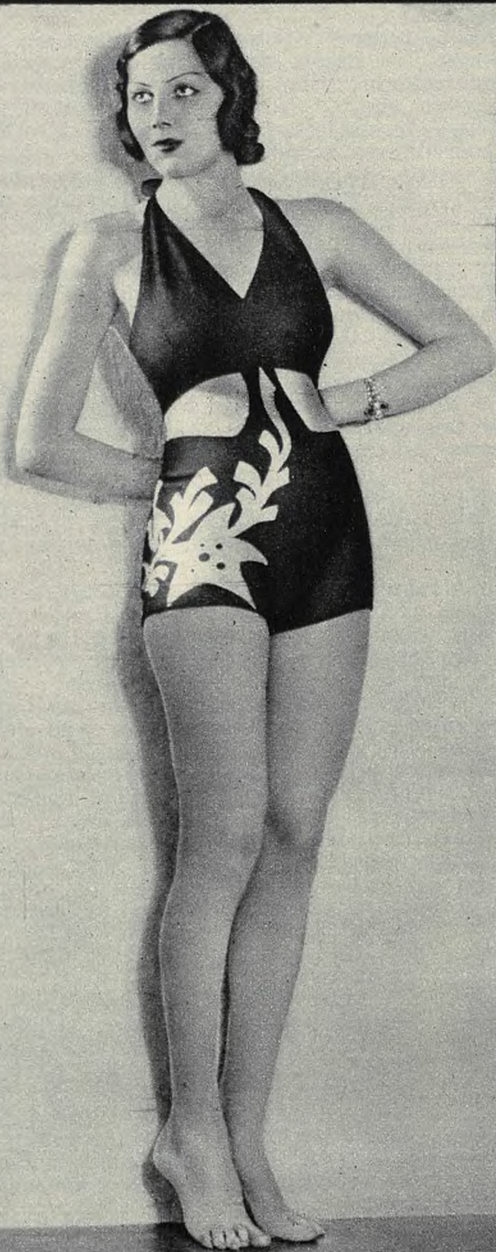
Kum.

Marynarze z „Niobe" na ćwiczeniach w szalupie.

OTO NAJWYGODNIEJSZY STRÓJ...

Mogą się toczyć na łamach prasy i w kołach konserwatywnych dyskusje na temat przyzwoitości i moralności pyjamy, ale równocześnie króluje ona niepodzielnie na plażach. Czy to będą wielkie kąpieliska nadmorskie zagranicą, czy nasze wybrzeże, czy zdrojowiska z basenami lub w pobliżu rzek, wszędzie pyjama stała się najulubieńszym ubiorem pań, lubiących wygode i mogących się poszczycić ładną budową ciała.









Kostjum kąpielowy czarny z oryginalną inkrustacją białą w kształcie egzotycznej rośliny stylizowanej.

Obok: Milutki komplet plażowy w kolorach jasno-zielonym i czarnym. Pomysłowy szal i berecik dodają dużo wdzięku.

Gwiazda filmu amerykańskiego Paulette Goddard prezentuje śmiały kostjum kąpielowy inkrustowany koronką.

W owalu: Pyjama z crepe marocain w kolorze białym w czerwone grochy, kombinowana z tymże kolorem czerwonym.

Co do przyzwoitości, to byłoby się o co spierać, bo przecież pyjama jest długa, często o tak kloszowym kroju, że czyni wygląd najzwyczajniejszej spodnicy.

Pozatem nie jest wrażliwa tyle co suknia na figle silniejszych powiewów wiatru, a gdy trzeba schylić się, czy też podskoczyć, stanąć na krześle czy wdrapać się na... chociażby płotek, to już niema co mówić o porównywaniu jej pod względem przyzwoitości i obrazy moralności z długą chociażby suknią. Gdzież jest zatem owa moralność, w imię której zwalcza się pyjamę?...

Nie względy przekory zadecydowały jednak, że zerwały panie z tradycją i ubrały... spodnie, ale fakt stał się niezaprzeczalnym w praktyce, więc raczej należałoby to wykorzystać dla celów propagandowych pro, a nie contra.

I zapewne przyjdzie chwila, w której pyjama odniesie zwycięstwo i ogłoszoną zostanie za zgodny z postulatami moralności strój, ale czy wtedy zechcą do niej powrócić dyktatorzy mody a za niemi nasze panie, to inna sprawa. Dziś ten pieprzyk ekscentryczności jest najlepszą reklamą pyjamy, a że jest przytem rzeczywiście wygodna i praktyczna, więc sprawa narazie jest przesądzona, póki... pyjama jest modna!

W. W.

GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE
JAKO TEREN TURYSTYCZNY.

Dostać się z Krakowa do Gór Świętokrzyskich, nie jest bynajmniej tak trudno, jak się to zdawać może, a będzie jeszcze łatwiej po wybudowaniu odcinka kolejowego do Miechowa. Narazie jedzie się pięć godzin pociągiem przez Trzebinię i Strzemieszyce do Kielc, a stąd 20 km. szosą, autobusem do Św. Katarzyny pod Łysicą, już w samem sercu Gór Świętokrzyskich, skąd ich główny zalesiony grzbiet ciągnie się prosto ku wschodowi, aż do Św. Krzyża nad Nową Słupią.

W Św. Katarzynie jest dobrze zagospodarowane schronisko Tow. Krajoznawczego. Można też zanocować w klasztorze, gdzie przybywający turysta znajdzie bielone ściany, czyściutką pościel, obfite i smaczne jedzenie, oraz szczerą uprzejmość i gościnność. Św. Katarzyna jest też dziś najdogodniejszą podstawą pieszych wypadów na okoliczne zalesione wyniosłości. Niedaleko stąd na Górę Miejską pod Bodzentynem, poprzez dolinę Wilkowską z jej cudownie zielonemi i ukwieconemi, podmokłemi łączkami wśród sosnowych lasków, a już całkiem bezpośrednio nad klasztorem wznosi się Łysica, największy zachodni szczyt pasma Łysogórskiego, z którego roztacza się wspaniały i rozległy widok na otaczającą uprawną równinę i wznoszące się ponad nią, jak wyspy zalesione pasma i gniazda górskie.

Stoki pasma Łysogórskiego pokryte są lasem, przeważnie mieszanym bukowo-jodłowym, z domieszką gdzieniegdzie jaworu i kilku jeszcze innych gatunków drzew. Las ten po brzegach jest miejscami dość silnie nadszarpany przez długoletnią eksploatację, jednakże w głębi, zwłaszcza na trudniej dostępnych pochyłościach, jest to jeszcze naprawdę pierwotna puszcza, albo nigdy nierąbana, albo też tak dawno, że wszelkie ślady ludzkiej gospodarki zdołały się tu już zupełnie zatrzeć. Widzimy tu ogromne drzewa stuczterdziesto i stusześćdziesięcioletnie, niektóre z nich uschłe, lub wywrócone, a obok nich drzewa wieku średniego i całkiem młode podrosty, zastępujące stopniowo i niepostrzeżenie drzewa zamierające w lesie o stale tej samej gęstości i niezmiennym w ciągu lat wyglądzie i charakterze. Miejscami wychodzi się niespodziewanie na przestrzenie lasem niezarośnięte, wśród otaczających ogromnych drzew robiące wrażenie jakichś fantastycznych sal, czy grot. Są to charakterystyczne dla Łysogór t. zw. gołoborza: miejsca, gdzie skała wydobywa się na powierzchnię ziemi, spękana na rumowisko, jak gorgańskie grechoty, lub tatrzańskie maliniaki, ale niedająca pożywienia roślinności, oprócz nalotu glonów i porostów. W latach wilgotniejszych na nawianych w szczeliny zgniłych liściach wyrastają wśród kamieni kępki paproci, a gdzieniegdzie nawet puści się jarzębina, lecz w latach suchych ta roślinność znowu zamiera i gołoborza zachowują swój charakter otoczonych wieńcem lasu kamienistych łysin. Jedna taka łysina zajmuje właśnie najwyższy szczyt pasma, nadając mu nazwę i czyniąc z niego wspaniały punkt widokowy.

Przed niedawnym czasem zatrzymała się na tym szczycie przybyła dla zaznajomienia się z granicami świeżo utworzonych rezerwatów wycieczka Komitetu Ochrony Puszczy Jodłowej, słuchając objaśnień najlepiej i z terenem obznajomionych geologów, botaników i leśników, i używając jednocześnie po marszu w górę wśród wykrotów najwspanialszej kąpieli słonecznej.

Z obszaru Łysogórskiego tworzy się bowiem pod protektoratem p. Prezydenta Rzplitej Park Narodowy im. Stefana Żeromskiego w celu zachowania tego obszaru w nienaruszonym stanie takim, w jakim go znał i przekazał pamięci wykształconego ogółu polskiego autor „Popiołów“, „Ech leśnych“, „Puszczy jodłowej“ i tylu innych utworów, zawsze nawiązujących do krajobrazu i tradycji tej części Polski.

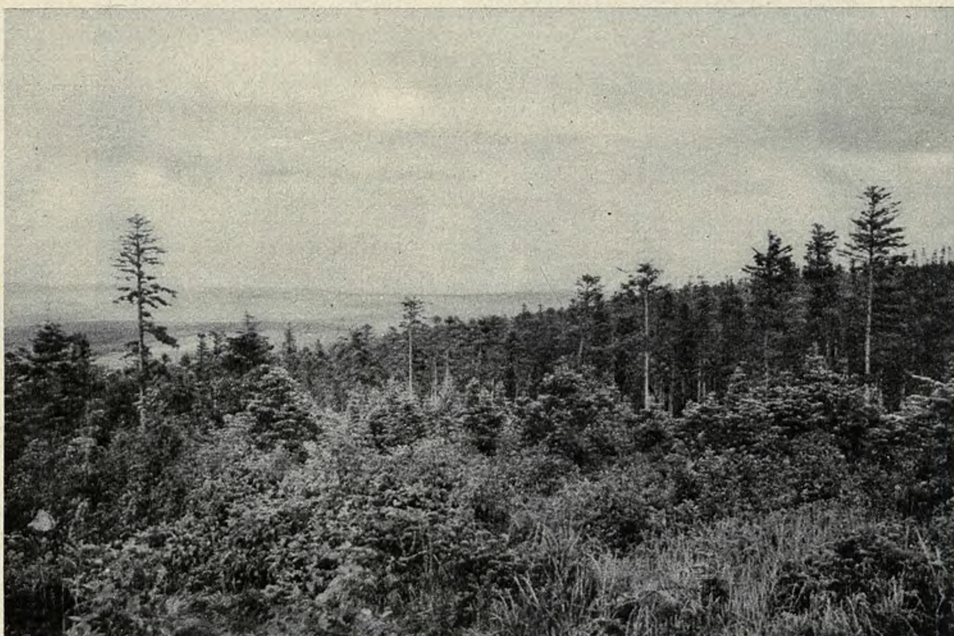
Niektóre części tego obszaru zostały wydzielone jako rezerwaty zupełne jeszcze w pierwszych latach niepodległości. Do tego przybywa obecnie szereg rezerwatów dalszych, tak, aby w obrębie rezerwatu zupełnego, wyłączonego od wszelkiego użytkowania i dostępnego tylko dla badania i zwiedzania, znalazły się wszystkie części zachowane do dzisiejszego dnia w stanie pierwotnym, i próbki wszystkich drzewostanów i zespołów roślinnych, jakie na tym terenie samorzutnie powstają. Pozostałe zaś obszary, oddawna i stale użytkowane, i przeto nie mające już charakteru pierwotnego, mają być, po stopniowem zatarciu śladów gospodarki „sztucznej“, zagospodarowane w sposób „naturalny“ systemem lasu trwałego. Znaczy to, że na tych obszarach wykluczone będą w przyszłości zręby czyste, dogodne handlowo, ale przykro rzucające się w oczy w leśnym krajobrazie, a przytem niszczące podłoże i stopniowo obniżające jakość lasu, i że użytkowanie ich będzie ograniczone do wyrębywania poszczególnych dojrzałych drzew w naturalnym lesie mieszanym, takim, jaki tu sam najlepiej rośnie i samodzielnie się odnawia.

Taki plan gospodarki na obszarze projektowanego parku jest wynikiem pewnego kompromisu pomiędzy żądaniami sfer naukowych, wedle których cała powierzchnia parku powinnaby być zupełnym rezerwatem, a wymaganiami sfer gospodarczych, lub powiedzmy ściślej, fiskalnych, którym trudno się pogodzić z myślą zupełnego nieużytkowania tak znacznych przestrzeni leśnych i zlikwidowania w krótkiej drodze szeregu jeszcze niezamortyzowanych urządzeń.

Poza tem i z punktu widzenia administracji leśnej, trudnem się wydaje zupełne nieużytkowanie skrajnych, graniczących z chłopskiemi gruntami, obszarów leśnych, któreby tu kłuły



Stary pień jodłowy z czernicą na szczycie i paprociami na dole w obrębie rezerwatu.



Ogólny widok na pasmo główne i opatowskie.

w oczy okoliczną ludność, jako nieustająca pokusa. Z tego względu celowem wydaje się utworzenie z tych skrajnych obszarów niejako warstwy ochronnej czy też buforowej dookoła środkowego jądra rezerwatowego. Podnosi się zaś, że obszary w ten sposób zagospodarowane, od zupełnych rezerwatów różnić się będą właściwie tylko nieobecnością najstarszych drzew uschniętych i wywróconych, które byłyby stąd zawczasu usuwane, lecz pozostaną zresztą naturalnemi lasami mieszanemi o drzewach wszelkiego wieku i wszelkiej wielkości.

Na temat „naturalności“ i „sztuczności“ różnych sposobów gospodarki leśnej i parkowej, były w czasie wycieczki prowadzone ożywione dyskusje i wypowiadane skrajnie z sobą sprzeczne zdania. Z jednej strony wszelkie, choćby najbardziej oględne użytkowaniee lasu na przestrzeni projektowanego parku przyrównywano do eksploatacji np. kościoła Marjackiego, jako kamieniołomu; z drugiej znów wyrażano wątpliwości, czy wyłączanie od użytkowania pewnych obszarów, jako rezerwatów nie jest czemś sztucznem, podobnem do fabrykowania sztucznych ruin.

Pierwsze z tych porównań jest niewątpliwie w znacznej części słuszne, gdyż puszcza użytkowana przestaje być puszczą. Jest ono jednak o tyle niezupełnie trafne, że zabytkowy budynek (a podobnie i zabytek geologiczny) po wyeksploatowaniu raz na zawsze przestaje istnieć. Natomiast żywy zespół roślinny, jakim jest puszcza, o ile użytkowanie nie przekracza pewnych granic, może się odnowić i zregenerować, zupełnie zacierając wszelkie jego ślady.

Aby wydać właściwy sąd o porównaniu rezerwatu ze sztuczną ruiną, trzebaby sobie najpierw zdać sprawę, co się rozumie pod słowem „naturalne“ i „sztuczne“.

Najczęściej „naturalnem“ nazywa się to, co robi wiatr, woda i wreszcie zwierzę w przeciwstawieniu do tego, co „sztucznie“ robi człowiek. W tem znaczeniu świadome wyłączanie przez człowieka pewnych obszarów od użytkowania można oczywiście nazwać „sztucznem“; nie jest ono jednak ani trochę bardziej „sztuczne“ niż samo użytkowanie.

Określeń „sztuczne“ i „naturalne“ używa się jednak jeszcze i w innem znaczeniu, a mianowicie już w odniesieniu tylko do człowieka „naturalnem“ nazywa się to, co jest robione instynktownie, drogą najmniejszego myślowego wysiłku dla bezpośredniego zaspokojenia doraźnie odczuwanej potrzeby, a „sztucznem“ to, co jest robione planowo i przewidująco z uwzględnieniem potrzeb przyszłych, a także ubocznych następstw dokonywanych czynności.

W tem znaczeniu „najnaturalniejsze“ jest oczywiście wyrąbanie lasu, skoro go można korzystnie sprzedać, bez zbytniego troszczenia się o to, co dalej z tego wyniknie. Taki „naturalny“ stosunek do lasu i wogóle do całej przyrody jest po dziś dzień najpowszechniejszy i najczęściej decyduje o wszelkich działaniach gospodarczych. Jednakże następstwem takiej „naturalnej“ gospodarki przy jej obecnym potwornym przeroście ilościowym, jest postępujące niszczenie i oszpecanie naszego otoczenia, czyniące z niego wkońcu pustynię i śmietnik. Jaskrawe na to przykłady oglądać można na kilku wzgórzach w okolicy Łysogór.

Jednem z takich ogołoconych z lasu wzgórz jest położona na zachód od Łysicy Góra Radostowa, sąsiadująca z gruntami Ciekot, gdzie się wychował Stefan Żeromski, i wspominana przez niego nieraz w całym szeregu jego utworów. Otóż w czasie wycieczki podniesiona została myśl ponownego zalesienia Góry Radostowej, jako daru narodowego dla pamięci Żeromskiego i najodpowiedniejszego pomnika dla tego miłośnika lasu polskiego. Byłaby to myśl bardzo godna podjęcia i urzeczywistnienia. Przywrócenie pięknego i użytecznego lasu na dzisiejszym żałosnym nieużytku, ilustrowałoby łączność pomiędzy wartościami estetycznemi i kulturalnemi, a trwałemi warunkami dobrobytu, z takim naciskiem podnoszoną przez Żeromskiego, zwłaszcza w ostatniej publicystycznej fazie jego twórczości.

Chodzi tylko o przewidujące i wszechstronne ujmowanie realnych wartości gospodarczych: las to nietylko zapas drewna do natychmiastowego zużytkowania, ale również zabytek przyrody i przedmiot badań ważny dla nauki i praktyki leśnictwa, a wreszcie pierwszorzędny czynnik klimatyczny i krajobrazowy.

I tu powracamy do punktu wyjścia niniejszego artykułu, w którym wszak chodziło o Łysogóry, jako piękny krajobrazowo teren wycieczkowy, który powinien być jaknajwydatniej wyzyskany, wedle znanej dewizy amerykańskiej „dla zdrowia i radości narodu“, z tem tylko zastrzeżeniem, że odwiedzanie przez liczne wycieczki stawia wysokie wymagania ich poziomowi kulturalnemu, aby nie niszczyły odwiedzanego terenu, co niestety zdarza się dzisiaj nawet niekiedy wycieczkom harcerskim, lub naukowym wycieczkom szkolnym. Konieczna więc będzie pewna akcja wychowawcza w stosunku do publiczności i pewne zorganizowanie ruchu wycieczkowego, jak wyznaczenie przez puszczę określonych szlaków, oraz miejsc dla postojów i campingów. Koniecznem też będzie usunięcie więzienia z budynków poklasztornych na Św. Krzyżu, które tutaj, w jednem z najpiękniejszych miejsc widokowych parku, jest zupełnie nie na miejscu i stanowi rażący zgrzyt w stosunku do zadań parku, jako terenu wypoczynkowego, na którym ludzie szukać będą wytchnienia po pracy i odnowienia sił. Historyczny gmach jednego z najstarszych klasztorów benedyktyńskich w Polsce i najstarszego w tych okolicach ośrodka kultury, powinien mieścić instytucje, związane z zadaniami parku, a więc pracownie naukowe dla przyrodników, muzeum regjonalne, a przytem obszerne schronisko turystyczne.

Inż. arch. Henryk Jasieński.

Z BLIŻSZYCH I DALSZYCH OKOLIC WARSZAWY.



Dworek znanego literata J. Szaniawskiego w Zegrzynku pod Warszawą.

Warszawa — wiadomo to powszechnie — jest jedną z najmniej malowniczo położonych stolic w Europie! W sercu ogromnego niżu sarmackiego, pośród piasczystych, płaskich pagóreczków nie nęci niczem szczególnem! Nic zatem dziwnego, iż stali mieszkańcy Warszawy, zwłaszcza ci, którzy przybyli z innych miast Polski, tęsknią szczególnie w porze wiosennej i letniej za swemi miastami rodzinnemi, czy to będzie na falujących pagórkach rozłożyście królujący Lwów, czy malownicze nad Wilją i Wilejką rozsiadłe Wilno, czy majestatycznie nad podgórzem wznoszący się Kraków, czy pełen zieleni Poznań, czy którekolwiek z mniejszych miast naszych, — zawsze w tej ciepłej porze roku uciekają myślą ku tym innym stronom! Ale ponieważ „mus" to wielki pan, więc zmuszeni przebyć ciepłe miesiące w stolicy, nie możemy poddawać się bezpłodnej melancholji, ni tęsknocie, a musimy raczej nauczyć się szukać i znajdować atrakcje tu, w pobliżu Warszawy, gdzie królowie i magnaci, w zrozumieniu prawdziwego piękna przyrody i sztuki potrafili stworzyć istne cacka, jak Wilanów, gdzie król Sobieski stale niemal przebywał, jak blisko niego, malowniczo położony Natolin z pięknym parkiem i pałacykiem Potockich, z drugiej połowy osiemnastego wieku, zbudowanym według planów Merliniego i t. d.

Na północ zaś od miasta nęcą stale i zawsze przebogate lasy bielańskie, w których stare, wiekowe dęby, olszyna i uroczy, pełen woni i zapachów lasek akacjowy rozsiewają dokoła czar jakiś niewysłowiony. Świeża i jasna zieleń, odbijająca się, zwłaszcza w porze podwieczornej w przeczystych, nisko u ich stóp rozigranych falach wiślanych, wytwarza przedziwny jakiś nastrój i mimowoli stają nam żywo w pamięci odległe dzieje owych lasów, pamiętających niejedną, iście królewską zabawę leśną.

Od czasów bowiem króla Władysława IV, który wybrał to malownicze ustronie pod kościół, początkowo drewniany, z czasem bogato i artystycznie rozbudowany, stały się Bielany przez długie dziesiątki lat miejscem spotkania najlepszego towarzystwa stolicy, które wraz z królem zjeżdżało tu z bogatym dworem zdobnemi karocami na „campingi" i na zabawy leśne, tak wówczas w modzie będące w całym świecie kulturalnym.

Od owych czasów wiele się tu zmieniło! Nie zmienił się jedynie wyniosły, malowniczy brzeg Wisły, nie zmieniły się drzewa majestatycznie korony swe ku niebu wznoszące, nie zmieniła się, z każdym rokiem odradzająca się wonna trawa! Zmienili się natomiast i to bardzo ludzie! Dziś bowiem zjeżdża tu głównie proletarjat miejski, lub ludek podmiejski, zaśmiecając to czarowne ustronie brudnemi papierami, odpadkami jedzenia, łupinami z jaj i rozbijanemi butelkami po „czystej"! Straszny to widok! Niczem pobojowisko! Aż trudno zrozumieć, że tak mało poczucia piękna i porządku posiada nasz lud i nie umie uszanować tego piękna, które domaga się całem swem istnieniem, jeśli już nie kultu, to przynajmniej szacunku, ze względu choćby na pobliże prześlicznego kościoła barokowego, harmonijnego w linji zewnętrznej, jakoteż w swej dekoracji wewnętrznej, gdzie nie brak nawet obrazów Smuglewicza. Niemało uroku dodają kompleksowi zabudowań pokamedulskich małe, dokoła kościoła rozsiane domeczki, służące niegdyś ojcom kamedułom na mieszkania. Specjalnym sentymentem tchnie uroczy domek królewski. Dziś klasztor zajęty jest przez zakład wychowawczy zakonników, którzy z zamiłowaniem uzupełniają cenne dzieła bogatej bibljoteki i pamiątki bielańskie, związane tradycją z licznemi królami, zwłaszcza z Michałem Korybutem Wiśniowieckim, którego serce pochowane jest w kościele, podobnie jak serce jego matki.



Fragment lasów zegrzyńskich.

Z Bielan dostajemy się bez trudności do pobliskich Młocin, w których piękny park i pałacyk, wystawiony przez ministra Brühla w połowie osiemnastego wieku, budzą zawsze zaciekawienie.

Po przeciwnej stronie szerokiej, srebrzystej wstęgi Wisły widnieje Żerań i Jabłonna, wsławiona w dziejach naszych, jako ulubiona rezydencja ks. Józefa Poniatowskiego. Przeprawiwszy się do Jabłonny, obecnie posiadłości Potockich, jużto Wisłą z Bielan, czy Młocin, jużto pojechawszy kolejką z Warszawy, lub też złą, niestety, szosą dostawszy się tu samochodem, podążamy naprzód ku Serockowi i Zegrzu, położonemu nader malowniczo u spływu Narwi z Bugiem, płynącym dalej pod nazwą Narwi — Bugu. Serock, sam przez się brzydka mieścina, zabudowana wzdłuż drogi, budzi zaciekawienie dzięki staremu warownemu kościołowi z cegły, zbudowanemu w stylu gotyckim, z pewnemi jednak już cechami powstającego renesansu. Surowość tej ceglanej, ogromnej budowli, nie przypominającej wcale spokojnego domu Bożego, potęguje jeszcze jego położenie na skalistym, wyniosłym brzegu, u stóp którego łączą się w całość te dwie, doniosłe znaczenie posiadające arterje wodne, jakiemi są Bug i Narew. Z Serocka wjeżdżamy po niedługiej chwili w czarowny wąwóz wzdłuż Bugo-Narwi, prowadzący do Zegrzynka, jednej z najmilszych i najprzyjemniejszych miejscowości letniskowych niedaleko Warszawy. Urok jakiś niewysłowiony powiał na nas odrazu od tych pól i łąk i lasów i od tej rzeki, bystro płynącej i od tych wysepek, rozrzuconych po jej korycie i od tej łachy, na drugim jej brzegu rozpostartej i od tego ogrodu warzywno-kwiatowego, nachylającego się ku czystym wodom cicho szemrzącej rzeki. A jak bardzo wzrasta urok tych miejsc, gdy sobie uprzytomnimy, że rezyduje tu stale w ciszy i skupieniu, właściciel tych włości, Jerzy Szaniawski! Bo, gdzie indziej mogła narodzć się zwiewna postać „Papierowego Kochanka", czy „Ptaka", gdzie mogła powstać wizja „Żeglarza", gdzie umiłowanie róż, jakie prześwieca w „Adwokacie i Różach" — jak nie tu, w tym dworku zacisznym, spowitym w wonne róże, tak ukochane przez autora „Fortepianu"? Brzeg rzek splecionych z sobą sjamskim uściskiem, wznosi się falisto z nad delikatnego piaseczku, a stare, o przeróżnych kształtach wierzby, przeglądając się zalotnie w bystrych nurtach wody, szepcą sobie przedziwne opowieści i legendy, dosłyszalne jedynie i dostępne sercu i fantazji poety, który podchwyciwszy ucieleśnia je w swych utworach dramatycznych i przepysznych nowelach, z takiem znawstwem malujących rozliczne małostki, bóle i cierpienia serca ludzkiego.

Sz.

ZDJĘCIA SZYFMANÓWNEJ.

SANDACZ W WODACH POLSKICH.



Sandacz. Ryba ta jest do Polski głównie importowana z Rosji. W ostatnich czasach szereg hodowców rozpoczął usiłowanią, ażeby rybę tę hodować na wielką skalę w Polsce i uniezależnić się w ten sposób od zagranicy.

Zainteresowanie kwestją sandacza w ostatnich latach zatacza coraz szersze kręgi, idąc po linji pomnożenia go w naszych wodach, byśmy nareszcie uniezależnić się mogli od masowego importowania tej ryby z Rosji, która w formie mrożonej, w ogromnych ilościach, szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia, zjawia się na naszych rynkach.

Sandacz (Lucioperca sandra) należy do okoniowatych i jak większość ryb drapieżnych, posiada ciało wydłużone o kształcie wrzecionowatym, który mu umożliwia szybkość i zwinność ruchów. Wielkość jego normalna waha się koło 60-ciu cm, waga zaś spotykanego na naszych rynkach dochodzi trzech kilogramów. Zdarzają się jednak osobniki znacznie większe. N. p. w r. 1925 w Warcie złowiono sandacza o wadze 17,5 kg i przeszło metrowej długości.

Jest to ryba drapieżna, z powodu jednak za krótkiego przełyku i przewodu pokarmowego karmić się ona może wyłącznie drobną rybą. Moment ten bardzo ważny w gospodarstwie rybnem, zasługuje na silne podkreślenie, dzięki niemu bowiem sandacz zaliczany jest do drapieżników pożytecznych, gdyż tępiąc t. zw. „chwasty wodne" oddaje gospodarce jezior i stawów nieocenione usługi. Ważniejszy jednak powód, dla którego rybę tę ceni się ogromnie wysoko leży w jej wartości kulinarnej. Sandacz mianowicie posiada nadzwyczaj delikatne i smaczne mięso, stawiane na pierwszem miejscu, nawet przed pstrągiem i łososiem. Kolebką jego jest Rosja południowa, skąd w epoce polodowcowej rozszedł się po Europie, sięgając na zachód do dorzecza Łaby. Dziś granice zasiągu sandacza zostały przesunięte nieco dalej i obejmują między innemi rzekę Ren, gdzie został on sztucznie wprowadzony, mniej więcej w latach osiemdziesiątych ub. stulecia. Dla zarybienia Renu i kilku jezior szwajcarskich posługiwano się materjałem podówczas produkowanym w Polsce przez Aleksandra Gostkowskiego, który pierwszy w swojem gosp. rybnem w Tomicach wypróbował sztuczną hodowlę sandacza w stawach. Dziś sprawa sandacza w naszym kraju, jak to cyfry odłowów wskazują, przedstawia się narazie dosyć smutno, silny jednak nacisk ze strony Rządu na zarybianie nim rzek i jezior stwarza nadzieję, że lata przyszłe podniosą jego produkcję o tyle, że importowanie go z zagranicy przestanie być aktualne. Zarybianie sandaczem wód krajowych odbywa się za pomocą ikry (jajek) tych ryb. Ikra bowiem w przeciwieństwie do wykształconych osobników, które giną nadzwyczaj łatwo — odpowiednio zabezpieczona, transporty wytrzymuje bez wody i to nawet w ciągu kilku dni.

Centrów, produkujących ikrę sandacza w Polsce mamy kilka; ze systemów zaś produkcji najczęściej stosowany jest t. zw. system szwedzki, polegający na wycieraniu sandaczy w klatkach drucianych, zwanych sadzami. Do sadzy takiej wyścielonej gałązkami świerka, lub jałowca, wkłada się w okresie tarła, które przypada u nas na miesiąc maj, komplety tarlaków sandacza (jedna ikrzyca i trzy mleczaki), następnie sadz zatapia się w wodzie, kontrolując raz dziennie, czy ikra została złożona? Ikra, w liczbie koło 200.000 ziarn od jednej ikrzycy, składana jest na gałązkach, wyścielających dno sadzy. Gałązki z ikrą, przeznaczone do transportu umieszcza się w koszach, przekładając je warstwami mchu z lodem. Lód wolno topnieje, utrzymując zaś mech w stałem nawilżeniu, chroni ikrę przed zepsuciem, która w takich warunkach bez szkody dla siebie może nawet być przesyłana na wielkie odległości. Po przybyciu na miejsce przeznaczenia kosz z ikrą na gałązkach zostaje zatopiony w miejscu, gdzie lekki ruch wody powoduje ciągłe jej odświeżanie. Przy dogodnej temperaturze wylęg dochodzi do skutku w przeciągu dni kilku, młode zaś sandaczyki otworami w ścianach kosza, specjalnie na ten cel porobionemi wydostają się na zewnątrz. Naturalny wylęg ikry w koszu ma tę dobrą stronę, że przez dłuższy czas kosz służy młodym sandaczom za schronienie, do którego, żerując opodal, uciekają w razie grożącego im niebezpieczeństwa.

Inż. Stanisław Gostkowski.



Gałązki z ikrą sandacza umieszczone w koszu i przeznaczone do transportu.



Zatapianie gałązek z ikrą w płynącej wodzie.

ZDJĘCIA INŻ. ST. GOSTKOWSKIEGO.

Szarada.

ul. L. Ciesielski — czł. Klubu Szar.

Tyle **trzy czwartego-trzynastego** krzyku
Raz-dziesięci czynią na nutę niemiłą:
Że **ośm-dziewięć-drudzy** już w bojowym szyku
Prą na **jedynasty** i chcą go wziąść siłą.
Zmyślone te kłamstwa celowe — nie puste, —
Aczkolwiek **raz-drudzy** sami w to nie wierzą!
Jak baby plotkami się **tuzin-pięć-szóste**,
Gdyż do „kurytarza" zęby swoje szczerzą!...
Wrzaskliwie **trzy-cztery-trzynaście-czternasta** *),
Siedm polskich wojsk wielka moc pod granicami
Jednaście-trzeciego i Wolnego Miasta...
Jakich kłamstw się chwytać — nie wiedzą już sami! —
Oszczerstwem się **tuzin-piąte- i czternaście**, —
Bzdury w świat puszczają jadem przepojone...
Znane jednak wszystkim te ciągłe napaście,
Znane i pretensje chytrze urojone! —
Osiem-dziewiątego do popisów mają
Dość, by swą nienawiść na nas wyładować, —
Niecnych więc podstępów stale się chwytają,
By tylko traktatów umów nie dochować! —
Nie sądźcie sąsiedzi, **siedm** wy prawo macie
Rządzić się na ziemi **jednaście-trzeciego!**
Nie!... — prędzej czy później wy nam go oddacie
Wara wam od grodu odwiecznie polskiego!!!

*) czternaście.

Łamigłówka wysuwanka.

ułożyła * * *

1	2	3	4	5	6	7
I	M	K	Z	S	O	T
E	E	U	E	N	P	N
A	N	S	Ł	S	O	S
Ł	P	J	M	Y	T	R
O	E	O	K	A	O	C
Z	Ś	M	P	R	D	W
O	Y	Č	L	O	O	I

Z danej figury powysuwać do góry siedmioliterowe kolumny pionowe w ten sposób, aby w kierunku poziomym można było odczytać znane tureckie przysłowie.

Za rozwiązanie niniejszych dwu zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 13 sierpnia 1932 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 29

Nasze morze też pomoże.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 29 nadesłali:

J. Ozimowska, Warszawa; L. Nieczuja Jhnatowicz, Gdynia Ad z Hożej, Warszawa; A. Szmytowa, Poznań; A. Mola, Czechowice; Sława Hajdukówna, Grudziądz; J. Lewenstein, Warszawa; J. Lewenstein, Warszawa; W. Wysocki, Skierniewice; M. Pietrusiński, Brześć; H. Wierzbicki, Kurjanki; L. Jaworzyńska, Kraków; H. Grąbczewska, Milanówek; kpr. Ambr. Sawicki, Ostróg; Czesława Giersztówna, Gniezno; J. Lewenstein, Warszawa; „Wilnianin"; Ant. Witkowski, Poznań; T. Kretkowski, Warszawa; F. Wachulski, Jaworzno; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; A. Urbankiewicz, Pabjanice; Kaz. Kalinowska, Lwów; E. Unverricht, Pawłów; Emil Sienkiewicz, Wilno; Bol. Golański, Kraków; A. Rotter, Kraków; M. Małkiewiczówna, Rzekuń; M. Garczyńska, Będzin; Miecz. Szymański, Poznań; W. Kamiński, Grudziądz; Kl. Kupilasówna, Rozdzień; Kar. Przyłuska, Warszawa; Tad. Klimczak, Złoczów; J. Studzieniecki, Przemyśl; Jurek i Halina, Warszawa; Em. Pasierb, Tarnów; „Bezrobotny"; Lipczyk, Warszawa; H. Raczyńska, Łódź; J. Robak, Sanok; E. Kräutler, Bielsko; Kapral Edek z Krakowa; Kaz. Koszko, Zakopane; Z. Pieracki, Wilno; por. Kaz. Zygmański, Przemyśl; Al. Kuczewska, Warszawa; E. Królikowska, Kraków; J. Langerówna, Nowy Targ; J. Łakocińska, Kraków; **„Eulalja" (zł. 30.—)**; J. Głuchowska, Pińczów; Franc. Litwiński, Lublin; „Juwal", Szamotuły; J. Horowski, Kraków; W. Gadomski, Kraków; Franc. Lelek, Kraków; Stan. Maziarek, Stanisławów; J. Książczakowa, Warszawa; Aleks. Kostyrka, Brześć; M. Rundowa, Bielsko; Ir. Lewicka, Lwów; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; K. Synowiec, Kraków; Wład. Pochmarski, Lwów; J. Kalasiewiczówna, Kraków; H. Wasielewski, Ostrów; J. Jaworzyński, Kraków; Jan hr. Moszyński, Toruń; Grenicheux; Jawna Kowalska, Warszawa; J. Kowalczykówna, Łódź; W. Waksmundzka, Jasło; Maryśka T., Rzeszów; Z. Pelczarówna, Stryj; mgr. M. Gastman, Tarnów; Jawnuta, Słonim; J. Bielesz, Kraków; M. Taras, Stryj; D. Herbstmanówna, Warszawa; J. Rogowski, Warszawa; J. Kociak, Kowal; I. Frezerowa, Ossówiec; „Wilnianka"; „Gaspard", Warszawa; St. Karolewicz, Warszawa; I. Wajsfeld, Pińczów; R. Dergiman, Wilno; Stan. Rojek, Lwów; J. Maćkowiak, Krzywin; Z. Biesiada, Ozorków; Em. Prokesch, Borszczów; **M. Urbach, Kraków (zł. 20.—)**; M. Czachertowa, Brodnica; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Ajszpurowa, Królewszczyzna; Wł. Pochmarski, Lwów; A. Cieśla, Częstochowa; por. Bubnicki Br., Kraków; Mgr. H. Borten, Kołomyja; L. Chrypiak, Jaworów; J. Partyka, Wilno; „Jaśka 33 z Zakopanego"; W. Tyblewski, Poznań; K. Moszkowska, Wodzisław; A. Kondkowa, Cieszyn; K. Chendyński, Dębica; A. Klohes, Kaków; J. Szarfenberg, Kalisz; Stan. Rydzewski, Otwock; J. Lubowiecki, Łańcut; E. Gałczyńska, Włocławek; Tad. Kruszyński, Turek; Kaz. Ołpiński, Warszawa; J. Krosnowski, Warszawa; E. Wang, Rzeszów; St. Sołtysiak, Stanisławów; A. Bieniaszowa, Lwów; H. Buczkówna, Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; T. Fedejko, Przemyśl; H. Wymiatałkówna, Wieliczka; „Wichurka", Kraków; Kaz. Piliński, Kraków; J. Świerczyńska, Lwów; dr. L. Sołtysik, Sambor; Maks. Bubnicki, Kałusz; J. Kawecki, Jaworzno; Wład. Mazur, Kraków; Miecz. Kuszewska, Kalwarja; „Jurysta' z Trzemeszna, Wlkp.; St. Kornaszewski,, Inowrocław; Eug. Sit, Tarnów; T. Turowiczowa, Kraków; T. Kiszka, Kazimierz Dolny; Kaz. Majde, Warszawa; K. Puchowicz, Warszawa; E. Chuchówna, Poznań; „Jotełł; H. Drzewiecka, Miejska Górka; B. Ramułtowa, Jeżów; St. Sulikow,-ski, Wieluń; A. Duda, Tonie; M. Zapiór, Kraków; **Karol Nowak, Tarnów (zł. 10.—)**; Ir. Lesińska, Kępno; „Maryś z pod Giewontu"; Wład. Gajowa, Poznań; Marylka z Ino; W. Siuta, Kołomyja; M. Steculanka, Kalicz; B. Morgenbesser, Łoszniów; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; H. Neumanówna, Łochów; J. Żuk, Jędrzejów; Janina z Torunia; Ada Lorenzówna, Toruń; Jan. Klimaszewska, Stary Sącz; Irma Mayerówna, Lwów; E. Jakubowski, Radom; Ewa Reingewircówna, Warszawa; B. Morawska, Katowice; St. Rakowska, Poznań; St. Biesiada, Ozorków; J. Siutówna, Kraków; H. Krzyżaniakówna, Poznań; W. Kortylewicz, Poznań; Dr. Stan. Franta, Katowice; Stan. Leszczyński, Sosnowiec; Adela Berezowska, Lwów; „Abiturjent", Lwów; Zdz. Fischbach, Września; M. Moszyńska, Lwów; A. L. Ordza, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; M. Erlichowa, Nowa Wilejka; Ign. Wołkowicki, Strzyżów; J. Sierpniak, Inowrocław; A. Szeworski, Piwniczna.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. „Eulalję" (E. K. zł. 30.—), M. Urbacha, Kraków (zł. 20.—) prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór gotówki — i Karola Nowaka (zł. 10.—).

AMATOR.



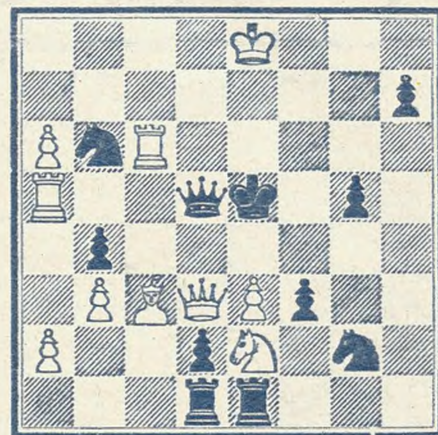
Sędzia: Pański zawód?
Osk.: Fotograf amator.
Sędzia: I za co pana aresztowano?
Osk.: Tak, bo chciałem dokonać zdjęcia palta w pewnem biurze, i na nieszczęście wieszadło upadając narobiło hałasu.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

E. Jönsson (III. nagr. w XIV Konkursie „Trollhättans schachsällskap").

Czarne: Ke5, Hd5, Wd1 e1, Sb6g2, piony: b4, d2, f3, g5, h7 (11).



Białe: Ke8, Hd3, Wa5c6, Gc3, Se2, piony: a2, a6, b3, e3 (10).

3-chodówka. 10 + 11 = 21.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki E. Jönssona:
1. a7! I. 1... H×a5 (W—h1, S—h4) 2. S—g3 i 3×;
II. 1... S—f4 2. S—d4 i 3×.

PARTJA.

Białe: **G. Stoltz** Czarne: **E. Colle (†)**
grana w międzynarodowym turnieju w Bled w 1931 roku.

Obrona Alechina.

1. e4 S—f6	17. g4 h×g4
2. e5 S—d5	18. Wd—g1 G×5+ (3)
3. c4 S—b6	19. S×g5 S—e5!
4. c5 S—d5	20. G—e4 G—f6!
5. S—c3 S×c3	21. G×a8 S—d3+ (4)
6. d×c3 S—c6	22. K—b1 H×a8
7. S—f3 g6	23. c4 S—e5!
8. G—c4 G—g7	24. H—c3 W—f5
9. G—f4 0—0	25. f4 g×f3!
10. H—d2 b6	26. We1 f2
11. h4 h5	27. W×e5 K—g8
12. 0—0—0 e6 (1)	28. Wh—f1 H—g2
13. G—g5 f6	29. H—d3 G×c4!
14. e×f6 G×f6	30. H×c4 W×e5
15. H—c2! H—e8! (2)	31. H—d3 H×f1+!
16. G—d3 K—g7	**Białe poddały się.**

(1) Przeciw groźbie g4!
(2) Jadyna obrona na groźby H×g6, Ge6.
(3) 18... g×f3? 19. G×g6!
(4) Można było też grać 21... Gd3! Błędnem byłoby natomiast: 21... W×f2? z powodu 22. H—a4!

WYZYSKAŁA SYTUACJĘ.



Mąż (wróciwszy z biura): Dziś mieliśmy 45 stopni gorąca. To nie do uwierzenia!
Żona: Ja ci wierzę, mój drogi, bo mi się nawet pieczeń przypaliła.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 32 upoważniający do

POLSKA FLAGA NA MASZCIE OLIMPIJSKIM.

KUSOCIŃSKI BIJE FINÓW W BIEGU NA 10.000 M.

WALASIEWICZÓWNA USTANAWIA REKORD ŚWIATA.



Reprezentantki naszej kobiecej lekkiej atletyki w zawodach olimpijskich w Los Angeles. — Pierwsza od lewej: Stanisława Walasiewiczówna, ustanowiła rekord olimpijski w biegu na 100 m.; w środku: Wajsówna, znakomita dyskobolka; trzecia od lewej: Schabińska, startująca w biegu przez płotki.

Los Angeles (U. S. A.), 1 sierpnia 1932.

Oblany blaskiem kalifornijskiego słońca, faluje ciżbą ludzką wspaniały stadjon olimpijski. Piętrzy się monumentalna budowla, śmiałemi linjami kreśląca błękit nieba. Smukłe drzewca masztów, dźwigających tęczę sztandarów, wznoszą się na kształt lasu nad widownią.

Wśród sztandarów — jeden znak powtarza się szczególnie często: Jest to wielka biała płachta, z pięcioma sjlecionemi różnobarwnemi kołami. Symbol ten panuje tu niepodzielnie, na świadectwo bratającej idei sportu. Koła na olimpijskim sztandarze, splecione ze sobą, to znaki pięciu części świata. Pierścień niebieski — to stara Europa, czarny oznacza gorącą Afrykę, żółty — to symbol pełnej tajemnic Azji, zielony — to znak australijskiego lądu, czerwony wreszcie, to nowy świat — Ameryka, której reprezentanci są gospodarzami dziesiątej Olimpjady. Odprawia się wielkie święto nowoczesnego olimpizmu.

Jest niedziela popołudniu i słońce zwolna kieruje się ku zachodowi. W tym samym czasie, w odległej o kilkanaście tysięcy kilometrów Polsce — jest późna noc, szarzejąca już po powszedniemu poniedziałkowi. Kraj jak długi i szeroki pogrążony jest we śnie — a jednak, napewno niemało serc bije mocniej na myśl o tej chwili osobliwej, która dla nas właśnie się rozpoczyna.

Jesteśmy oto w pełnym rozgwarze olimpijskich bojów niedzielnego popołudnia. Od kilku już godzin z napięciem śledzimy wypadki, rozgrywające sę na gładkiej powierzchni otoku bieżni i na zielonej runi boiska. Widzieliśmy już: i biegi przez płotki i skok w wyż i pchnięcie kulą i przedbiegi 100 metrów w konkurencji pań. Nieraz, na kształt orkanu zrywał się entuzjazm tłumu, widzącego zwycięstwo swych barw. Wtedy to zamierały serca tym, których bliskim nieszczęście się na bieżni. Także i nam los nie szczędził goryczy, gdy startowali Heljasz i Pławczyk.

W nastroju tłumu czuć jednak, że czeka on na coś ważniejszego od tego, co dotychczas widzieliśmy. Wszystko co dotychczas było — jakkolwiek piękne i jakkolwiek takim samym laurem olimpijskim wieńczące skronie zwycięzców — musi usunąć się w cień wobec olbrzymiego wysiłku ciała i ducha, jakiego trzeba będzie w walce, która za chwilę przed nami rozegra się!

Pustoszeje bieżnia i głośniki donośnie zapowiadają najpiękniejszą konkurencję dnia, — wielki bieg na przestrzeni 10.000 metrów, od początku olimpjad największe — obok maratonu — budzący zainteresowanie.

Naprzeciw nas, na starcie gromadzi się grupka zawodników. Migają w słońcu barwy i herby — ruch panuje gorączkowy. Na linji, przekreślającej w poprzek bieżnię, wyciąga się równy rząd sylwetek. Jest ich dwadzieścia siedm i prawie wszystkie mieszczą się w jednym szeregu. Z brzegu odcina się wyraźnie, przybrana w biały płaszcz, postać startera. Po drugiej stronie, na wzniesionem rusztowaniu, przygotowują się do biegu sędziowie mierzący czas, celowniczowie i inni funkcjonarjusze. Start biegu nastąpi lada chwila.

Mocno biją nam serca, gdy wytężywszy wzrok widzimy na piersi jednego z zawodników znak Białego Orła. Niepozorna postać naszego mistrza Janusza Kusocińskiego gubi się prawie wśród tłumu najlepszych biegaczy świata. Nastaje chwila dręczącej zagadki... czy zdoła on zdobyć się na czyn niebywały i wśród dwudziestu siedmiu konkurentów wywalczyć zwycięstwo dla Białego Orła, którego znak nosi na piersiach? Wszak do biegu tego, prócz jego ogromnej trudności, przywiązana jest jeszcze groźna tradycja, mówiąca, że prócz Finów, nikt kusić się nie może o laur olimpijski na tym dystansie. Kolehmeinen, Ritola, Nurmi... groźne nazwiska — brzemieniem upaść muszą na barki zawodnika, który waży się konkurować z ich sławą. Niema ich dziś na bieżni — to prawda. Są jednak inni ich następcy, niemniej godnie — a może nawet lepiej — umiejący bronić honoru małej Finlandji, klasycznego kraju najlepszych biegaczy świata.

Strzał startera przerywa rozterkę. Za pół godziny będzie po wszystkiem i dręcząca nas niepewność zostanie rozstrzygnięta...

Barwna grupa zawodników wysuwa się ze startu tak ostrem tempem, że mimowolna obawa chwyta widzów, nie znających taktyki takiego biegu. Chodzi jednak przedewszystkiem o rozciągnięcie grupy biegaczy i o zajęcie odpowiedniego miejsca przy krawężniku. Nasz Kusociński, któremu w szybkości nikt nie może sprostać, już po trzech okrążeniach bieżni znalazł się na czele, wraz z grupą najlepszych biegaczy. Obaj Finowie: Isoholo i Virtanen, Niemiec Syring, Szwed Lindgren i Nowozelandczyk Savidan, rozstrzygnąć mieli bój między sobą. Inni nie mogli zagrozić tej szóstce.

W czołówej grupie utrzymuje się ciągle, niezmiennie, bardzo szybkie tempo, tak, że i ta grupa zaczyna powoli rozdzielać się. Już po trzech tysiącach metrów Kusociński, idący w przodzie prowadzi za sobą jedynie Fina Isonolę, podczas, gdy dystans oddzielający ten „tandem" od innych zawodników, zaczyna się zwolna, ale systematycznie, powiększać. Powoli zainteresowanie całej widowni skupia się tylko na prowadzących bieg dwóch zawodnikach, mimo, że na dalszych miejscach biegną prawdziwe sławy dystansu: jak Peterson, de Bruyn, Zabala i inni.

Półmetek mija prowadząca grupa: Kusociński-Isoholo w wspaniałym czasie około 15 minut, mając za sobą — o sto metrów blisko — Niemca Syringa i pozostałych zawodników.

Znakomity taktyk, jakim jest Kusociński, oddaje w tem miejscu na chwilę prowadzenie Isoholi. Ten próbuje oderwać się od swego nieustępliwego towarzysza, ale wnet przekonuje się, że w tym biegu nic się stać nie może bez woli naszego mistrza. Tempo jest tak fantastyczne, że tylko biegacze tej miary, co Kusociński, lub Isoholo mogą je wytrzymać. Kusociński zresztą nie na długo pozwala Isoholi na nieregularne tempo. Bez trudu znowu wychodzi na czoło i oddala się od swego konkurenta. Słynny Virtanen jest już wtedy o jakie 200 metrów w tyle.

Rozstrzygnięcie biegu zbliża się. Nadzieja i zwątpienie miotają nami na przemian. Jaki jeszcze zapas sił ma Kusociński i jakie niespodzianki taktyczne przynieść może bieg Finów? Okrążenie mija jedno za drugiem — szybko przesuwają się sylwetki biegaczy, długiemi krokami regularnie mierzących bieżnię.

W ostatnich minutach biegu nastaje na stadjonie dramatyczna cisza. Na chwilę zrywa się gromki okrzyk, gdy Isoholo atakuje i to w momencie, gdy Kusociński wyraźnie zwalnia tempa. Nikt nie wie jednak, jaki zapas żelaznych sił ma jeszcze nasz zawodnik do dyspozycji?

Wreszcie dźwięczy sygnał, zwiastujący ostatnie okrążenie. W ciszy mijają zawodnicy pierwszy łuk bieżni. Isoholo dobywa wszystkich sił i równa się z naszym mistrzem. Na pierwszej prostej, rozpoczyna nasz Kusociński nieprawdopodobny atak. Lekko — pozornie bez wysiłku — zostawia metr za metrem swego rywala za sobą. Wreszcie ostatnia prosta. Piorunujący finisz i za chwilę widzimy na białej taśmie sylwetkę Kusocińskiego, zrywającego ten symbol zwycięstwa.

Entuzjazm widowni nie miał granic. Sportowa publiczność umie tu cenić wynik. Jest on dla nas szczególnej ceny, gdyż zdobyty został wobec licznych rzesz amerykańskich Polaków, zdaleka przybyłych, by oglądać zwycięstwo swego rodaka z „starego kraju".

Niezrównana chwila gdy na główny maszt olimpijski wciągnięta została polska chorągiew i gdy nazwisko naszego zawodnika i jego państwową przynależność, ogłoszono w olimpijskim protokole — na długo pozostanie w naszej pamięci, jako najwspanialszy dotychczas wynik polskiego sportu.

Kusociński w tym biegu osiągnął czas: 30 minut 12 i 4 dziesiąte sekund, ustanawiając nowy rekord olimpijski — tylko o sześć sekund zaledwie gorszy od rekordu świata (o 17 sekund lepszy od dotychczasowego rekordu polskiego). Drugi za Kusocińskim o 10 metrów w tyle, przybył Fin Isoholo, trzeci Fin Virtanen, czwarty Nowozelandczyk Savidan, piąty Niemiec Syring, szósty Szwed Lindgren. Na niepunktowanych miejscach znalazło się 20 innych najlepszych dystansowców świata.

F.



Janusz Kusociński, mistrz X. Olimpjady, zwycięzca w biegu na 10.000 m.

NA PLAŻY WIŚLANEJ.

